

Nazywam się Władysława Piechocka. Urodziłam się 9 stycznia 1924 roku w Rohatynie, w województwie Stanisławowskim. Moi rodzice pochodzą z Małopolski, a właściwie z Południowej Polski. Matka pochodziła z Dubienka koło Przemyśla, a ojciec z Krosna. Dziadek, to jest ojciec mojego ojca był pracownikiem szybów naftowych - tak zwanym wiertaczem. Nie przypominam sobie czy w 1912 czy też w 1911 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tam go, zdaje się, zaproszono jako specjalistę i przebywał w stanie Pensylwania do 1919 roku.

Rodzice mojej matki wywodzili się z zamożnej rodziny. Dziadek był przez wiele, wiele lat wójtem. Prowadzili gospodarstwo rolne nad Sanem. I właśnie matka była ich najmłodszą córką. Po wybuchu wojny w 1914 roku został wcielony, jako młody człowiek, bo mój ojciec urodził się w 1892 roku, do armii austriackiej. Pod Przemyślem dostał się do niewoli rosyjskiej. No i oczywiście kiedy spytawali skąd się wywodzi i gdzie pracują jego rodzice to powiedział, że ojciec jest naftiarzem. "Aha, szachtiorom" - wobec tego posłali go jako młodocianego jeńca wojennego do Donbasu. W ten sposób mój ojciec trafił, jako jeńiec wojenny do kopalni węgla w Donbasie. Tam pracował do 1920 roku i na mocy umowy wrócił do kraju. W 1922 roku ożenił się z moją matką, Polką. A mój dziadek wrócił w 1918 roku do kraju. Babcia już nie żyła. Zostały tylko dwie córki. Oczywiście syna już nie wiedział, bo był on już w niewoli rosyjskiej. Oczywiście przywiózł trochę pieniędzy. Co robić? Wprowadzić jak wówczas mówiono: wybuchłą Polskę niepodległą. Ale przecież nie było nawet przemysłu. Nie bardzo wiedział co robić, a był już schorowany i rzeczywiście po pół roku zmarł. Ulokował te pieniądze w ziemi. W 1919 roku kupił ziemię z dóbr Czartoryskich na Podolu. Właśnie między Rohatyniem a Czartkowem, Bronianami i Tarnopolem. To były ogromne obszary, latyfundia, między innymi Czartoryskich. Po parcelacji zostały jeszcze lasy. Te piękne lasy państwowe. Tak właśnie nazywano lasy Czartoryskich. No i dzięki temu mój ojciec stał się rolnikiem. Nie bardzo wiedział jak się do tego zabrać. No, ale o czyn nie wszyscy wiedzą teraz w Polsce, tam powstawały kółka rolnicze i byli wspaniali instruktorzy, którzy radzili. Dziadek zostawił pieniądze dzięki którym ojciec mógł kupować nie tylko podstawowe maszyny jak na przykład noże elektryczne, ale także takie jak: kierat, wialnia, młockarnia, śrutownik, sieczkarnia. Te wszystkie maszyny potrzebne w rolnictwie już były. No i tak zaczął gospodarować. Ziemia była wspaniała: pszenno - buraczana. Pamiętam, że kontraktował buraki do cukrowni. Wagonami odstawiał do Chodorowa. Specjalnie przyjeżdżali oglądać te buraki. Bo jeden burak ważył 16 kilogramów. Trafiwały się nawet do 20 kilogramów. Były zupełnie jak prosiaki - tak ogromne

ogromne. Ziemia była wspaniała. Żyto rosło wysokie, jak trzcina. Oczywiście ojciec założył sad ~~w~~ ^w ~~łasniowy~~, kilkunastu odmian jabłoni grusze. Prymitywny dom ojciec zbudował zaraz. Ale taki porządny to w roku 1920. Ja pamiętam, że kończył go w latach trzydziestych. Na początku lat trzydziestych. Ale już w 1926 czy 1928 - wprawdzie wtedy był kryzys - ale zbudował ten dom ładnie kryty blachą, z drewna. Dziadek z Przemyśla przysłał dwa wagony pięknego budulca. I tak mimo kryzysu jaki wtedy dotknął Polskę to powoli podnosili się i rzeczywiście to gospodarstwo wspaniale rozwijało się. Było piękne. Sześć krów zarodowych, była chodowla świń, zresztą zawsze kontraktowanych na bekonny pierwszej klasy bo w Chodorowie była rzeźnia. Więc tak gospodarowaliśmy sobie. Rodzice nasi byli tradycyjni. Jak Pan Bóg dawał to matka była w ciąży i rodziła. I tak było nas pięcioro. A z szóstym dzieckim była w ciąży kiedy wybuchła wojna w 1939 roku. Bardzo przeżyliśmy pierwsze dni wojny, dlatego, że musiały powstawać Komitety Obywatelskie do obrony przed napadami nacjonalistów ukraińskich, którzy grabili, palili a co gorsza zabijali. Na przykład położona niedaleko od nas taka wieś, duża odada, miasteczko, znana była ze znakomitych wód, borowiny. Tam się leczono, Przyjeżdżali kuracjusze. "Czeremcha" jak ich nazywaliśmy. Wieś nazwę przejęła od tego, że tam mieszkało kilka rodzin czerczyckich. To była bardzo bogata ukraińska wieś. Mieli szkołę podstawową, średnią. Właśnie w szkole średniej uczyła języka polskiego młoda pani, nauczycielka. W pierwszych dniach wojny 3 czy też 4 września nie tylko, że ją w straszliwy sposób zamordowano ale przedtem wyrwano jej język za to że mówiła po polsku. Więc mną nie powodują jakiegokolwiek uprzedzenia, czy też jakiegokolwiek nacjonalizm, ale tam na krańcach rzeczywiście był. Być tam wtedy Polakiem to było rzeczywiście być bohaterem. Przeżyliśmy to okropnie. Dom już był bombardowany przez Niemców. Widzieliśmy niemieckie samoloty. Słyszeliśmy wybuchy bomb. Chociaż na szczęście Niemcy ~~nie~~ do nas nie doszli. I tak zaczęła się nasza wojna. Nasze przeżycia.

Pamiętam jak w pierwszych dniach września, siódmego, przyszło do nas kilkunastu studentów i zatrzymało się u nas. Daliś_m im schronienie. Ojciec zabił takiego dorodnego ośmiomiesięcznego cielaka,

Matka piekła chleb, żeby ich wyżywić, żeby nabrali sił. A kiedy 17 września usłyszeliśmy, że Sowieci przekroczyli granicę, to oni poszli. Poszli na Południe szosą zaleszczykowską. Chociaż wątpię czy przekroczyli granicę. Może znaleźli się w Katyniu, a może na Worskucie. Kto to wie? W listopadzie do ojca doszły wiadomości, takie wieści, że Rosjanie sporządzają takie listy, spisy wszystkich Polaków. Wprawdzie wieść poszła, że są to spisy robione dla zbliżających się wyborów, do Sejmu Ukraińskiego, ale to były wybory Polaków przeznaczonych do zsyłki. Jeszcze chciałam zaznaczyć, że jak weszli Rosjanie to sklepy opustoszały. Nie było zapalek, nie było soli, nie było nafty. Właściwie nic nie było. Nie było ubrań, nie było butów. Wreszcie każdy miał jakiś ^vzapas i jakieś ubrania, ale tylko w ten sposób, zaznaczam, to już odczuliśmy przedsmak tego co nas potem spotkało. Mój ojciec po ciężkim wypadku; po ciężkiej chorobie, miał bardzo okaleczoną lewą stopę. Leżał kilka miesięcy w domu chory i po raz pierwszy właściwie zaczął chodzić w grudniu 1939 roku. Przypomnam sobie, jak przed Wigilią, matka już się prawdopodobnie źle ~~czuła~~ czuła, zastępował ją w kuchni smażąc pączki. No tak, te święta były smutne, ale jeszcze we własnym domu, na własnych śmieciach. Ponieważ, jak już mówiłam, ojciec kontraktował buraki, a zwyczaj był taki, że wybierał je osobiście. O ile pamiętam cukier kosztował złotówkę, ale ojciec częśc^oowo do stawał znacznie taniej, częśc^oowo gratis w skrzynkach, w kostkach, a w workach cukier kryształ. I były dwa worki cukru, były trzy skrzynki cukru w kostkach. W spiżarni wisiało trochę bekonów, wisiały wieńce cebuli, czosnku. I w ten sposób rodzina była zabezpieczona. Zresztą moja matka prowadziła taki dom - dwór. Zawsze był otwarty dla ludzi. Zawsze było pełno gości. Wszystkich żywiła. Zresztą to pozostało jej do końca życia.

Minął styczeń. Zima 1940 roku była bardzo ciężka. Myśmy mieszkali na Podolu. Tam był klimat kontynentalny. Jak padał deszcz to padał a jak był wyż

to był prawdziwy wyż. Zima była zimą. Spadły duże śniegi. Była dość niska temperatura. I tak dożyliśmy do 10 lutego 1940 roku. Otóż 10 lutego 1940 roku w nocy, o godzinie 3 rano gwałtownie zapukano do drzwi i do okien. Ojciec się poderwał i usłyszał po rosyjsku: "Otkrywajcie drzwi". Oczywiście zapytał kto i po co. Wtedy odezwał się znajomy Ukraińiec i powiedział: Niech Pan otworzy. Niech się Pan nie boi. Ojciec otworzył. Weszło czterech ludzi. Dwóch tak zwanych społecznych i dwóch wojskowych z bronią. Wycelowali broń w pierś ojca, wyjęli z kieszeni papierek i odczytali, że ojciec nie może przebywać na ziemi ukraińskiej dlatego, że jest wrogiem Związku Radzieckiego i w ciągu godziny musi opuścić dom i wszystko co ma wraz z rodziną. Jeżeli nie wykona tego rozkazu to zostanie rozstrzelany. No i tak nie wszystko do nas dochodziło, wśród nocy podnieśli nas z łóżek. Zresztą my wszyscy byliśmy już zgromadzeni. Odczytano ojcu wyrok. Matka była w siódmym miesiącu ciąży, była wieloródką. Cięża była już zaawansowana. Matka stała i drżała jak liść. Przyciągnęła wokół siebie te wszystkie małe dzieci, a tak się złożyło, że ja byłam najstarsza. Właśnie przed miesiącem ukończyłam 16 lat. Była młodsza siostra zaraz po mnie, Janka, która urodziła się w 1929 roku. Była jeszcze młodsza, która urodziła się w 1932 roku i dopiero braciszek, który urodził się w 1933 roku - pierwszy syn. I kolejny syn który urodził się w 1935 roku i najmłodszy który urodził się w 1938 roku i matka w ciąży. Ponieważ ojcu nie pozwolono się ruszyć, nie pozwolono mu na zrobienie kroku. Pozwolono jedynie się ubrać. Jedynie ja miałam pole manewru, tylko ja mogłam się ruszać. I wtedy rzeczywiście, nie wiem czy z determinacji czy też z rozpacz, właściwie nie czułam lęku. Było mnie wszystko jedno. Był u nas służący, a prawdę mówiąc to taki zarządzający gospodarstwem. Był u nas już od czternastu lat i jego oczywiście jako człowieka wyzyskiwanego potraktowano z honorami. On był tak przejęty tym, że mnie tylko wolno było się poruszać.

Co wziąć ?

Weź wianek cebuli, skrzynkę cukru na sanie, które podjechały pod dom, pod taką werandę. Dwie pary sani i na to załadowali nas. Matkę z małymi dziećmi i rzeczy. I prawdopodobnie dzięki niemu mieliśmy te rzeczy. Ja potem tak zdeterminowana myślę sobie: Co jeszcze, co jeszcze. Wzięłam taki woreczek, w którym było trochę ryżu i pobiegłam do kurnika. Jak szalona, w nocy.. Bo oczywiście ^{ws} nie było, żeby mieć jakie^ś jakkolwiek narzędzie a tym bardziej ^{ws} ostrego. Więc ja poszłam i swoimi rękami ukrecałam łby szesnastu kurom w nocy, własnymi rękami i do worka. Zapakowałam te kury i na sanie. Te kury nas uratowały. Nie tylko nas ale także małe dzieci, które były w tym wagonie, w którym i myśmy się znajdowali. Pamiętam, że w domu było cztery albo pięć bochenków chleba - bo ^ś był jakiś wypiek niedawno robiony. Wtedy sobie przypomniałam. Dobrze, ale przecież na czym my będziemy na tej Syberii gotowali. Przecież jakiś garnuszek musiał być. Pamiętam tylko że wzięłam duży kocioł do gotowania bielizny. Ja tak czułam, że ja-koś bardziej będzie nam potrzebny. Przecież jest tyle dzieci. Jakies dwa garnki. Brzytwy ojcu nie ~~włxxx~~ wolno było wziąć. Noża nie wolno było wziąć, widelca nie wolno było wziąć. Bo to wszystkie ostre narzędzia były zabronione. No więc wzięliśmy to w co mogliśmy się ubrać, trochę pościeli. Na szczęście ja wzięłam dwa koce. Zabrałam je ponieważ był mróz i trzeba było te dzieci zawinąć, okutać. No i tak dojechaliliśmy do Rohatynia. Na stacji czekały już takie bydłące wagony, polskie, w których były zbudowane takie mury z desek. Dzieci wyżej a dorośli nisko. Na środku wagonu była wycięta dziura i nie było nic. Dopiero potem jak staliśmy i oni widzieli te malutkie dzieci to wstawili taką kozę, taki piecyk. No i oczywiście polscy kolejarze wrzucili nam kilka kawałków drewna. I jak staliśmy w Rohatynie, jak staliśmy_m tam na stacji i słyszeliśmy jak ktoś krzyczy: Panie Piechocki, panie Piechocki, z takim akcentem. Ojciec poznał, że był to jeden

z Żydów zamieszakłych w Rochatyniu, który dowiedział się o wywozie Polaków. Ojciec mój kupował u niego, jego żona szyla matce. I oni dali man jeszcze trochę chleba i soli. I ten - powiedziała bym - symboliczny dar dali nam. Po czym za chwilę słyszymy, że ktoś krzyczy, biegnie i krzyczy: Kasiu, Kasiu jesteś. Matce na imię było Kasia. Okazuje się, że to brat mamy, zresztą zmarł na Uralu, jego żona i troje dzieci, które w końcu zostały bez rodziców. Zresztą te dzieci także zmarły tragicznie. .

Jesteśmy bez kawałka chleba., Dzieci są głodne. Więc przez kratę przekazaliśmy dwa worki bochenków chleba wujowi, bo u nich chleba nie było i nie pozwolono im nic zabrać. Był on bardzo zamożnym człowiekiem. Miał piękne gospodarstwo, ponad 50 hektarów ziemi. Tam to świadczyło o zamożności. Był on chyba bratem mamy.

I zaczęła się nasza wędrówka. Jeśli chodzi o mnie to mam takie osobiste wspomnienia. Pamiętam jak pociąg ruszył z Rochatynia do Lwowa. Ja myślałam że duszę wtedy wypłaczę. Mnie się wydawało, że skończył się świat i wszystko. Ja tak straszliwie rozpaczałam i krzyczałam, że ci wszyscy zgromadzeni w wagonie krzyczeli na mnie, żebym była cicha. Nie prowokowała bo zaczęła strzeżać. Ja tak krzyczałam, tak rozpaczałam ale jednocześnie mówiłam: Bandyci, co oni zrobili. I ludzie się tego bali.

Dojechaliśmy do Lwowa. Na tym pięknym dworcu we Lwowie staliśmy przez dwa dni. Dworzec był otoczony kordonem wojska i czekaliśmy na pociąg ze wszystkich stron. Oni wtedy tam organizowali zbiorczy pociąg. Po dwóch dniach pociąg ruszył na Wschód. I pamiętam, że nie dano nam nic do jedzenia. Tylko jeden raz we Lwowie. I tutaj ten duży kocioł do gotowania bielizny przydał się bo to był zbiornik na wodę, którą myśmy gromadzili nie tylko dla własnej rodziny, ale w ogóle dla ludzi. Woda w tym kotle była dla wszystkich. Ludzie mieli jakieś wiaderka, a myśmy jak się okazało też mieli jedno wiaderko

ale to wszystko było przecież za mało. My byliśmy ściśnieni w polskim wagonie, w którym było około sześćdziesięciu osób. Było bardzo ciasno, okropnie. Tak dojechalismy do Zbołdunowa. W Równym stalismy przez trzy dni i tam nas przeładowano do rosyjskich wagonów, dostosowanych do szerokich torów.

I zaczęła się nasza wędrówka. Więc było tak : Do Równego to wszystko było w porządku dlatego, że jak tylko pociąg przystawał to kolejarze jednak czuwali i z jednej i z drugiej strony wagonu i jak się wyglądało przez kratę to oni podawali kawałki chleba, drzewa tak że można było palić. Ale dalej to już było obcy kraj i tam już nie było pomocy. Zresztą oni się narażali i wiedzieli, że za każde podanie wody czy chleba albo kawałka drewna bo o chleb nie było mowy, mogło grozić śmiercią czy zsyłką.. Więc tak jechalimy. I pamiętam, że brakowało wody. Było tak strasznie. Bez wody. Dzieci płakały a padał ogromny śnieg. Ja byłam wysoka, bardzo szczupła i były takie pręty żelazne w oknach. To nie była krata, to były takie pręty. Więc ja wypróbowałam czy mi głowa przejdzie pomiędzy tymi prętami. Jak mi głowa weszła pomiędzy te pręty to ja podczas biegu pociągu wysuwałam się. Ludzie trzymali mnie za nogi a ja z dachu zbierałam ~~ten~~ ten zakopcony śnieg i garściami, bo to był miękki padający śnieg, podawałam ludziom. Ludzie stali, żeby dojechać do pierwszego postoju. Pierwszą wodę i pierwszy posiłek dostaliśmy w Tambowie. Otworzyli drzwi i było tam z pięćset metrów do studni. Poszlimy z naczyniami, co kto miał, z wagonu i tam otrzymaliśmy wodę. Przynieślimy wodę a następnie poszlimy żeby przynieść każdej rodzinie według spisu, właściwie miała to być grochówka, ale pływały w niej tylko łuski z grochu. Taka szara ciecz, ale coś ciepłego. Przynieślimy tej grochówki i po łyżce kaszy jaglanej. To już zresztą tak do Krasnojarska tak nas karmili. To było wyżywienia dawane raz dziennie. Dopiero w Krasnojarsku dostalimy po kawałku chleba. W tych wagonach było nas po około osiemdziesiąt osób.

Było strasznie - bo myś się, ubrać się, i przede wszystkim załatwić potrzeby fizjologiczne. Więc ludzie się zorganizowali. Przyszepliłi dwa koce żeby trochę **psłonić** i tak jechaliśmy. Stłoczeni, w beznadziei. I wszyscy zdawali sobie sprawę dokąd jedziemy, że jedziemy na Syberię. Syberia - synonim głodu, grofy, cierpień, zimna. Miejsce zesłań wileu najlepszych postęp_powych ludzi, patriotów. No tak, ale tego jeszcze nie było, żeby małe dzieci i te nie narodzone i te małeńkie nie rozumiejące zsyłać na taką poniewierkę. To sobie trudno wyobrazić co się działo w tym wagonie. Jak te małe dzieci z wysoką temperaturą krzyczały. Nie było pomocy. O lekarzu, o lekarstwach mowy być nie mogło. Nikogo to nie obchodziło. Zresztą nawet jak ten czy **św** wartownik, bo tacy się też zdarzali, był człowiekiem i próbował współczuć, to przecież nic nie mógł zrobić. On mógł tylko miłosiernie patrzeć. Nie mógł nawet dłoni wyciągnąć w naszym kierunku. Bo sam by się znalazł w takiej samej sytuacji.

I teraz właśnie zaczęła się nasza wędrówka. Ufta. Tam staliś_my dwa dni. Następnie jechaliś_my przez te równiny i tę **ktainę** bezkresną. Zdawało się, że już jedziemy na koniec świata, że to się nigdy nie skończy. To są takie przestrzenie. Ja po tylu latach, jak sobie przypomnę, jak sobie uzmyłowię, że przez dwie, trzy, cztery godziny żadnego osiedla, żadnego domu, żadnego drzewka, jedynie wyrosła trawa starożąca spod śniegu. Zresztą to były tereny, gdzie śniegu za dużo nie było. Myśmy byli gdzieś pomiędzy Utą a O_mskiem. Z nas wszystkich tylko ojciec się dobrze orientował w geografii i on mówił: No teraz zbliżamy się do Nowosybirsk, przekraczamy Ural. Teraz jesteśmy na Zachodniej Syberii. I rzeczywiście był Nowosybirsk. W Nowosybirsku zostaliśmy, już nie **przypominam** sobie ile dni. To wszystko już się zamazuje w pamięci. Zresztą to nie jest najważniejsze. Z Nowosybirsk do Krasnojarska przejechaliśmy kolejną trasę transsyberyjską. Naszym punktem docelowym był Krasnojarsk. Prawdopodobnie był to marzec. Być może pierwsza dekada marca. W Krasnojarsku wy-

siedliśmy z tych wagonów i popędzili nas na brzeg Jensieju. Na tym nabrzeżu były takie duże stocznie rzeczne, gdzie budowane statki przystosowane do pływania po rzekach. Statki rzeczne - były to potężne statki dlatego, że rzeki między innymi Jensiej są to potężne rzeki. To są po prostu rzeki jak morze. W tych stoczniach zainstalowano nas. Kto był młodszy i zdrowszy to wdrapywał się na szkielet takiego statku i tam się gnieździł. Ale przecież były takie rodziny, które miały małe dzieci, albo w dodatku matka w ciąży. To były takie stocznie, właściwie to były hale. Takie hale lekko oszalowane. W zimie nieczynne z powodu mrozu i właśnie tam w zimie my po prostu mieliśmy dach. Nie było to ~~za~~ ogrzewane, było tylko lekkie oszalowanie. I na tym mrozie myśmy koczowali przez dwa tygodnie. I tam się zaczęły straszne choroby.

Chleb dostawaliśmy raz dziennie. Przypominam sobie jak szłam z wiadrem po taką zupę, która miała taki szaro-zielony kolor. Pływały w niej takie łuski, takie straszne paskudztwo, kraszone olejem nierafinowanym, śmierdzącym. Szłam po tę zupę i usłyszałam, że już kilka osób zmarło na tyfus.

Przykro to mówić, ale pamiętam, że matka ułożyła koce, na koce kołdrę i na kołdrę położyła poduszki. W ten sposób zrobiła pewną izolację od tego zmarzniętego cementu. Zresztą potem ogrzewaliśmy to własnym ciałem. A nakryła nas tak w poprzek pierzyną. Pierzyna była powłoczona takim ~~białym~~ adamszkim. Była poszwa. I pamiętam, że myślałam, że to deszcz pada a to padały z góry takie wszy. Ja w życiu nie widziałam i daj Boże że nie zobaczę czegoś takiego. Przecież to były kilkumilimetrowe insekty. To było coś takiego okropnego. I to chodziło, takie straszliwe. No i właśnie zaczął się tyfus. Ale na to nie było rady. Była czerwonka, był tyfus. Z głodu z zimna a przede wszystkim z braku higieny. Bo przecież nie było się gdzie myć. Woda zamarzała. Jak się przyniosło wiaderko to można było się napić i umyć twarz, ale o obmyciu się czy o zmianie

bielizny przecież mowy być nie mogło. Zresztą gdzie to uprać i gdzie to wysuszyć? Tak jak gonione i bite zwierzęta wszyscy jechaliśmy do 9 lutego i przecież nie przebierałyśmy się. Ja i moje siostry, młodsze odemnie dziewczęta. Wszystkie miałyśmy piękne war-
kocze. Pamiętam, że jak przyjechałyśmy na miejsce i matka dostała przydział nafty - to był taki luksus, po pół litra nafty. To ta nafta była jak lekarstwo. Mama nam smarowała włosy i czyściła z wszy. Dlatego pamiętam, że nad uszami miałam biało od gnid.

No i tak tam koczowaliśmy i czekali na konie i sanie - na dal-
szy etap. To trwało dłużej niż dwa tygodnie dlatego, że drugiego dnia naszej podróży - to była Wielkanoc, można sprawdzić, że 17 czy 15 w każdym razie w połowie kwietnia była Wielkanoc, i pamiętam że wtedy już byliśmy na rzece, bo to była jedyna droga przez tajgę. Korytem rzeki, po lodzie. Było rano 45 stopni minus, mróz ogromny. Załadowano nas tam w Krasnojarsku, o ile sobie dobrze przypominam na sanie. To był dwu - trzy kilometrowy sznur sań i ludzi na saniach. I tak jechaliśmy korytem rzeki do Jensejska. Droga była piękna, wąska, tylko na tyle na ile sanie mogły się zmieścić. I była przetarta. Koniki były przyzwyczajone do tego. Dwóch strażników z bronią siedziało na przodzie i dwóch z tyłu. Oczywiście mogli wcale nie pilnować dlatego, że nikt nigdzie nie mógł uciec. Bo śnieg był kilkumetrowy, gród nie było, osad ludzkich nie było. Zresztą dokąd uciekać. Tylko jeden jedyny szlak ta droga. Właśnie ta droga była obliczona na ileś tam kilometrów, że musiało się wyjechać świątem, jak to w zimie bywało. Chociaż to było już przedwiośnie. I te konie szły, szły, szły bez przystanku, szły i ludzie na tych koniach. Można było zejść bo przecież było zimno. Ci którzy poruszali się biegli przy saniach, albo za saniami tuż przed następnym koniem. Żeby tylko się ogrzać, żeby nóg zupełnie nie odmrozić. Nie było mowy o tym żeby się zatrzymać. Zatrzymywaliśmy się w określonym miejscu, gdzie był wybudowany

taki barak, gdzie było przygotowane drzewo, nary. I tam zbierano tych ludzi. Przenocowaliśmy tam i świtem z powrotem na sanie i dalej w drogę. Tak dojechaliśmy do Jenisjejska. I tam ostatniego dnia tej naszej podróży z Krasnojarska do Jenisjeska wydarzył się taki wypadek. W odległości może dwóch kilometrów od nas mieszkała rodzina. To było młode małżeństwo. Pobrali się przed kilku laty. Żona jego była w wysoko zaawansowanej ciąży. No i nastąpiły bóle porodowe. Zaczęła rodzić. I ten mąż zupełnie oszalał. Co dalej będzie i jak. Prosił: zlitujcie się. Pobiegł do przodu. Oczywiście tam go przepędzili, żeby im głowy nie zawracał. To niech sobie rodzi. Poszedł przy tych saniach. Żona rodziła przez kilka godzin. Wreszcie urodziła to dziecko. I z tym dzieckiem wykrwawiła się i zmarła a dziecko się udusiło. Bo jak mówiłam mróz był może nie 45 stopni ale 35 poniżej zera to na pewno było. No i co. Ona była oczywiście otulona jakimiś betami i kiedy przyjechaliśmy do Jenisjejska i wszyscy wysiadli z tych san i znowu nas do tego hangaru, takiego samego, zapędzili. A to był nad rzeką taki mroźny dzień. Silny wiatr. To wszystko trzeszczało, hucało tak straszliwie w tym momencie ale nikt nie pamiętał o tej strasznej tragedii tej kobiety i tego biednego dziecka. Jak myśm y przechodzili z sania, na brzegu rzeki trzeba było wychodzić do tego hangaru, tośmy widzieli, ona była może w dziesiątych sanich od czołówki, że okrwawione zwłoki jej i tego małego leżą na śniegu pod hangarem. Oczywiście mąż chciał zostać przy zmarłej ale mu nie pozwolili. Wypędzili go. I myśmy byli tak przejęci tym widokiem, że się nie czuło zimna, że się nie chciało jeść. Ja pamiętam, że przecież ja byłam młodą dziewczynką, byłam zmarznięta ale ta tragedia przysłoniła wszystkie własne odczucia: własny głód, własne zimno, zdenerwowanie, zniecierpliwienie. Wszystko razem. Naturalnie jak już wychodziliśmy rano to była krwawa plama, ale już nie było zwłok. Ja się często nad tym incydentem zastanawiałam. Czy to było nieludzkie?

Na pewno to było nieludzkie. Ale co ci ludzie, którzy nas eskortowali mogli zrobić? Nie wiem. Myślę, że nie. W tym strasznym systemie stalinowskim nic więcej nie mogli zrobić.

I teraz w Nowosybirsku nastąpił kolejny etap. Rodziny, które tam dojechały rozdzielono na trzy grupy. I każdą grupę wysyłano na inne miejsce. Po tym już nas poinformowano, że jedziemy na tak zwane "żółtyje prilizki". to znaczy do kopalni złota. To bardzo pięknie brzmi. wydaje się, że to jest coś pięknego, że jak jest złoto to tam będzie jakieś życie. Ludzie nie zdawali sobie sprawy co to jest. No i znowu jechaliśmy Jenisiejem podwodami. Oczywiście korytem rzeki. To była jedyna komunikacja w zimie. Prawdziwa droga. Koryto rzeki. Do Inspitu, do ujścia rzeki Pity. Nas osiedlili między Pitem który wpadał do Jenisjeju a Podkameną Tunguzką. Może parę słów o tym jak to wyglądało. Właściwie to był teren wyżynny. Po zachodniej stronie Jenisjeju. To są rozległe doliny, tajga, doliny i mokradła. A po prawej stronie Jenisjeju, na Wschód jest taki teren wyżynny. Toteż Jenisiej ma takie wodospady, takie duże przeskokki. Właśnie taki jest krajobraz tej wyżynnej krainy. Zwłaszcza dla turysty jest to ciekawe, ta tajga. Jest to ciekawy kraj. Bo to są te górki, góry bardzo dużo szczytów. Oczywiście są także w dolinach mokradła. Dużo wody. Czyste rzeki. Bijące źródła i na każdym kroku pełno śladów ludzkiej, znoonej pracy. A więc przekopane całe hałdy gruzu, kamieni piachu. Wszystko ręcznie przesłane przez wielku poszukiwaczy złota.

Więc z Jenisjeju do Pitu - nazywał się Pitgorodok, to znaczy miasteczko Pit. Od rzeki. Prawdopodobnie kiedyś założyciele, poszukiwacze złota nie wymyślali jakiś specjalnych nazw. Rzeka Pit to i miasteczko Pit. Jechaliśmy jeszcze przez tydzień. I dopiero w Picie nas wysłano do kopalni złota w osadzie Ajachta. Od tego miasteczka jeszcze 25 kilometrów na północny - wschód. Przy czym chcę tu wspomnieć, że tam był nasz jedyny sklep, lekarz. Wszystko to 25 kilometrów od nas. I kiedy jeszcze byliśmy pod strażą do 1942 roku to mowy

nie mogło być o poruszaniu się i pójściu do tego miasteczka, bo przecież my byliśmy "zakluczeni".

Pamiętam niektóre osoby. Chudzik, Kula, Wątroba, Pustelnik, Panik, Pikor. Oczywiście te kopalnie były budowane prawdopodobnie na początku XIX wieku. Naturalnie nawet jak na tamte warunki były prymitywne. Ale musiały mieć elektryczność bo trzeba było wodę pompować trzeba było uruchamiać urządzenia do wydobywania rudy, bo tam się rudę wydobywało a nie złoto i węgla tam nie było. Dowozu nie było. Skąd brać energię? No to trzeba było tych niewolników zapędzić do tajgi aby rąbali drzewo. Wyznaczone były normy. Chyba 1 metr sześcienny na człowieka dziennie.

Ja razem z ojcem poszliśmy zaraz do pracy bo trzeba było żyć i wyżywić rodzinę. Więc jakie początki były nie chcę o tym mówić, bo to jest tragiczne.

- Jak państwo mieszkali?

- Zaraz opowiem jakie były warunki. Przyjechaliśmy na miejsce 3 maja. Było przedwiośnie. Jeszcze był śnieg. Jeszcze były przymrozki. Ale to jest dziwne. Tam zima trwa 9 miesięcy lato 3 miesiące. Właściwie to tak naprawdę wiosny i jesieni tam nie ma. Może jest taki okres przejściowy, dwutygodniowy, ale praktycznie to wiosny i jesieni tam nie ma. Ulokowano nas w baraku. Całą rodzinę. W pomieszczeniu były mury, takie sklecone wyrka. Był też taki gliniany piec i nic więcej. I podłoga była z takich ciosanych bel. Pomieszczenie to miało 18 na 20 metrów. Zaraz obok nas umieszczono kuzynkę mojej mamy z mężem i córką. To była mała rodzina. Kuzynka prawdopodobnie chciała aby móc pomagać mamie. Nie wiem. Tak przypuszczam, że poprosiła o to mieszkanie. No i teraz tragedia. Rozlokowaliśmy się i co dalej. Ale przyjechała taka kuchnia polowa. Przyjeździł nam kaszę i przywieźli nam taką zupę, taki kapuśniak bardzo rzadki i kaszę jaglaną. I powiedziano nam: Trzy dni będziemy was karmić bezpłatnie. Potem potra-

cimy to wyżywienie, a wy pójdziecie do pracy, bo kto nie pracuje ten nie je. Dlatego powiedziałem, że trzeba iść do pracy.

Po pierwsze: nie byliśmy przygotowani do takich warunków i do takiej pracy w lesie. Dali siekiery, piły. Właściwie to nie był siekiery. To były topory - ciężkie topory i do pracy.

Pamiętam, że ja z taką panią, która nazywała się Karoła Kurasz trzydziestokilkuletnia kobieta, miałyśmy razem do spółki pracować. Bo ciąć piłą to jedna osoba nie może. I myśmy poszły do tego lasu. I co to była za praca.. Co to była za gehenna. To sobie trudno wyobrazić.

Przypominam sobie,, że do miejsca pracy było kilkanaście kilometrów. Po śniegu, po tych roztopach. Bo to się już śnieg topił. No więc tak pracowałyśmy przez lato. Ja po kilku miesiącach, prawdopodobnie z głodu i wycieńczenia zachorowałam. I ojciec rozchorował się i położył. Więc ja musiałam pójść do pracy. Bo matka urodziła dziecko, ale to na szczęście dotrzymała poród do przyjazdu na miejsce i urodziła syna.

W baraku był tak zwany kantor, takie pomieszczenie, w barakach, które były rozrzucone po terenie. A było ich kilkanaście, wybudowanych w końcu lat dwudziestych. Dlatego, że my byliśmy tam taką trzecią grupą. Bo pierwszą byli tak zwani "kułacy" z okolic Krasnodaru. Następną grupą byli Mordieni, Tatarzy z lat trzydziestych i trochę Rosjan, ponieważ już prawdopodobnie zaczynała się czystka. Na przykład ja znałam takiego Rosjanina, który zginął na froncie i który pracował nawet gdzieś w tych organach Dzierżyńskiego, ~~on~~ był komunistą, ale był jakiś niewyraźny. Nie stracili go, ale zesłali. I on pracował w kopalni jako tak zwany "diabolszczyk".

Była też przewodnicząca Rady, bardzo intyligentna, bardzo mądra i bardzo dobry człowiek, taka starsza pani, pani K₁sielowa. O niej mówiono, że ona w swoim czasie, w okresie Rewolucji była sekretarką

Lenina, ale za coś ją tam zesłano i dzięki temu ocalała. Ona była takim bardzo dobrym, sprawiedliwym człowiekiem. A po za tym miała taką wspaniałą cechę; ona wiedziała komu trzeba pomóc, kogo trzeba podtrzymać. Była wyjątkowa.

Ja zresztą, po krótce chciała bym scharakteryzować ludzi z którymi los nas zetknął. Bo to jest bardzo istotne. Dzięki nim myśmy przetrwali najgorsze czasy.

Właśnie tam, na miejscu zaczęła się nasza gehenna. Ta zupełna beznadzieja, całkowita. Przystosowanie się wszystkich do nowych warunków, do tej pracy, do tego głodu, do tej niewygody, do tych wszystkich braków - to było coś strasznego. Bo ci tubylcy, którzy mieszkali tam już po kilkanaście lat, obeznani z warunkami, z systemem mieli zapasy. Mieli worki mięsa, suszonego chleba, sucharów. Suchary to był tam skarb. A myśmy przyjechali i nic. Kilogram chleba kosztował jednego rubla, a przeciętnie w lesie zarabiano się trzydzieści rubli. Więc przy tej naszej rodzinie można sobie wyobrazić jakie to było życie. To jest ciężko mówić. Ale dam taki przykład: To było w drugim roku naszego pobytu w 1941 roku, na wiosnę. Mama powiedziała: Wiesz jest jakieś palenisko w kierunku północnym. Trzeba przejść jakieś trzy kilometry. Tam było to co się nazywało "smołarnią" - "wypalarnią" - wypalanie dziegciu. Wypalali ten dziegćz kory brzozonej. Byli tam specjaliści i oni się tym zajmowali. I na tym palenisku znalazły się nie wiadomo skąd pokrzywy. Pójdź bo tam chodzą nasi. Zbierz tych pokrzyw a ja zrobię szpinak. I pamiętam poszłam po te pokrzywy i przyniosłam je. W drodze pomyślałam sobie, że ja tego nie będę jadła. I rzeczywiście przyniosłam te pokrzywy a mama rozplakała się i powiedziała: Dzieci kochane. To jeszcze poczekajmy. ^{IN} Naprawdę chodziłaś. Nie zrobię tego. Nie mogę tego przełknąć. Nie dam wam tego jeść". Ale to nas ratowało. Dziki czosnek - tylko że tam ta roślina nazywała się "czeremsza". Miała takie szerokie liście, pachniała czosnkiem

Ma taki ostry zapach. Więc jak spływały śniegi, a śniegi spływały w ciągu tygodnia, to było tak coś zdumiewającego, że jak następowała odwilż, przychodziło ciepło. To było 20 stopni i było słyhać jak strumyki płyną po śniegu. Po prostu ten śnieg szumiał jak się topił, tak że było słyhać jak topnieje. I po tygodniu już się szło do taigi i już było pożywienie w lesie. Bo to natychmiast z pod ziemi wychodziło. Przyroda tak się dostosowała do tej krótkiej wegetacji, że już w lesie były pędy, które wyrastały razem z topniejącym śniegiem. Oczywiście zrywało się tylko te liście i to się jadło na surowo i parzone, na różne sposoby. Ludzie po prostu jedli to jak zwierzęta. Ale to stawiało nas na nogi bo to zawierało wszystkie mikroelementy i witaminy ~~na~~ no i ~~był~~ jakieś tam pożywienie było. Miało to także odrobinę białka. Potem zaczynały się jagody, które bardzo szybko dojrzewały - już w czerwcu. Czarne ~~ja~~ jagody. W niektórych miejscach było granatowe. Ja pamiętam już jak poszłam do wojska to mama opowiadała, że jak chłopcy podrośli a sama już wydobrzała, szła z chłopakami i z dwoma wiadrami po jagody. Wracali wieczorem przynosząc dwa wiadra jagód. Więc można było odstawić do punktu skupu. Wtedy płacono 50 kopejka za kilogram, więc to był ratunek, to był zarobek.

Pod koniec lipca zaczynały już dojrzewać borówki. Też ich było mnóstwo, już w życiu tyłu nie zobaczę. Czarno się robiło od borówek. A borówki z kolei, bo się robiło z kory brzozonej takie pojemniczki, i do tych pojemniczków zsypywało się je. Natychmiast po borówkach następowały mrozy, przymrozki, więc stawiało się je na strychu czy gdzieś w chłodnym miejscu. I to było ~~pożywienie~~ pożywienie. To była herbata, to był napój, to było wszystko na zimę. Więc tam runo leśne nas żywiło i pomagała nam przeżyć. Nie mówię już o grzybach. Tam były i prawdziwki, ale było dużo podgrzybków.

były maślaki, były koźlaki i inne grzyby. Nawet trafiały się rydze. Mówi się, że grzyby nic nie dają. To nieprawda. Ludzie w lecie jedząc jagody i grzyby odżywiali. Zupełnie jak ~~niedzwiedzie~~ niedzwiedzie. To było coś nieprawdopodobnego jak organizm przystosowywał się do tych warunków.

Do 1948 roku bez przerwy mieszkał tam razem z nami, dzień i noc, strażnik. Oczywiście zmieniali go. Był to NKWD-zista z NKWD. Wojskowy z bronią i on czuwał, pilnował, obserwował jak kto się zachowuje, czy pracuje czy nie pracuje, co się dzieje. Dwa razy w tygodniu przyjeżdżał taki wóz, taka kolaska i przywozili ~~nam~~ chleb. W pierwszym roku to był chleb i raz w miesiącu dawali albo 10 dekagramów cukru na osobę. Zależało od tego co tam mieli. Dwa razy w roku: na 1 maja i 7 listopada dostawaliśmy po śledziu a ponieważ nie było soli to jeszcze z łaski można było uprosić o 1 litr ropy i w tej ropie moczyliśmy śledzie. To jest coś zdumiewającego. Jak ~~nie~~ ma soli to jest jeszcze trudniej przeżyć niż bez cukru. Tak się tego łaknęło. Mama robiła tak, że kruszyła chleb. Po wszystkim domyśliłam się że swoją porcję kruszyła do wrzátku i dawała nam abyśmy mogli przeżyć. Bo w tym czasie to było coś koszmarnego. Dlatego, że pracujący otrzymywali 1 kilogram chleba a wszyscy inni 400 gramów. Chleb był ciężki jak cegła. Był taki lepki, razowy. Był koszmarny. Prawdopodobnie nie rozrabiali go, ten chleb nawet nie wyrastał, bo miał zbyt dużo wody aby dojrzeć. I jak się przynosił taki chleb dla rodziny - trzeba było go podzielić dla wszystkich. Więc mały Janek, który miał wtedy trzy lata, stał i pilnował. Krzyczał, żeby największy kawałek jemu przypadł. I to co dowieźli to było. Ale to był pierwszy rok i ten rok był bardzo ciężki, trudny. Bo to była wojna z Finami. A w 1941 roku zaczęło się. Jak się zaczęła wojna z Niemcami to przede wszystkim tych, którzy byli zdolni nosić broń

to zabrano na front. I wtedy młodych Polaków zdolnych do pracy w kopalni dopuszczono do niej. No ale jaki był z tego zysk? Był większy zarobek, wyższy niż w tajdze, w lesie. Po pierwsze. Po wtóre. W stołówce górnik otrzymywał obiad, bardzo często z jakimś wkładem - kawałkiem mięsa lub gotowanej słoniny. Najczęściej właśnie gotowanej słoniny. Następnie dostawał kilogram chleba, ale jak zaczęła się wojna to przydział chleba zmniejszono do 600 gramów. To było tragicznie mało. Zjeść i leżeć a nie pracować. Przy takim żywieniu.

Jak to się ułożyło w mojej rodzinie? Jak powiedziałam na wstępie bardzo tragicznie. Ojciec po pół roku pracy rozchorował się. Teraz przypuszczam, że była to choroba głódowa. Że on po prostu nie miał sił, że on się po prostu ledwo poruszał. Matka urodziła. Musiała nakarmić gromadkę dzieci tym co było. Sama karmiła piersią, aby to dziecko było zdrowe. Dziecko chciało ssać, krzyczało "jeść". Już po paru tygodniach to mu wpychała ten czarny chleb do buzi bo przecież nie miała czym karmić. Więc tak się wycieńczyła że spuchła przestała mówić, dostała takiej czerwonej wybroczyny. Na całym ciele. Przestała reagować. I pamiętam, na początku ja pracowałam w lesie potem byłam taka słaba, że po prostu nie mogłam chodzić. Na domiar złego w tym baraku były pluskwy. Straszliwe. Myśmy sobie nie mogły z nimi poradzić. I ja wydałam walkę pluskwom. Żeby można było pobiec, coś zrobić z tym barakiem. Tylko można było wrzątkiem polewać. Innego sposobu nie było. Można było polewać podłogę - ale co zrobić ze ścianami. No to trzeba było pieszko iść w tajgę 9 kilometrów w jedną stronę z workiem i przynieść niegaszonego wapna. Bo tam była taka palarnia wapna. Tam były takie wapienne skały i tam wypalali wapno. W takim dołku przy baraku, nie wiedząc jak to się robi, lasowałam to wapno. Żeby potem tym wapnem po baraku.

Już się zrobiło lato 1941 roku. Nie można było wytrzymać. Po

prostu była inwazja. Z jednej ~~strony~~ strony głód a z drugiej strony w lesie buszki, o których zaraz opowiem. A w mieszkaniu w nocy pluskwy. Z wszymi to matka się szybko uporała. Ale co robić z pluskwami. Jakie środki przedsięwziąć. Więc my ratowaliśmy się utracając te pluskwy do wapna. I rzeczywiście to dawało efekty. Ale trzeba było bardzo pilnować bo te pluskwy przychodziły także z innych baraków.

Ja poszłam do lekarza. Zresztą był to bardzo dobry lekarz. Bardzo dobry człowiek, czy był także dobrym lekarzem to tego nie mogę powiedzieć. Zbadał mnie i powiedział: Moja droga. Ty jesteś bardzo głodna. Ty jesteś bardzo wycieńczona. Ty się tam w tym lesie wykończysz. Ja ci dam inną pracę. I on mnie dał pracę w żłobku. Żłobek w którym było 20 - 25 dzieci. Kobiety pracowały, mężczyźni poszli na front a ja zaczęłam pracować w żłobku, przy tych maluszkach. A moja mama przez dwa tygodnie leżała nieprzytomna. Jedna Rosjanka miała krowę więc ktoś z naszych sąsiadów powiedział: Wiesz, może byś poszła do tej Rosjanki może ona udoiłaby trochę mleka i dała twojej matce. Parę kropel. Ona jeszcze żyje i może te parę kropel to jej pomoże, może ją uratuje. Ja pamiętam, poszłam do tej Rosjanki, ale widzi pan, to jest coś w charakterze człowieka. Ja mogę prosić dla kogoś ale dla siebie nie potrafię tego zrobić. Nigdy nie umiałam. Ale to było dla mojej matki i ja wiedziałam, że od tego zależy jej życie. Ja przyjrzałam i jak zobaczyłam tę biedę tej Rosjanki - mąż na froncie, dwoje małych dzieci - stanęłam w drzwiach i nie powiedziałam ani słowa. Tylko ją pozdrowiłam. Ona popatrzyła na mnie i mówi: Ty na pewno mleka chciałaś dla swojego braciszka, dla małego braciszka chciałaś. To ja ci dam. Moje dzieci dzisiaj już nie muszą pić. Dostałam litr mleka. To było bardzo dużo. Ja rzeczywiście przyniosłam to melko, pół litra mleka. Rozcieńczyli nam to dwoma litrami wody i tak przez kilka dni jak niemowlaka matkę karmiliśmy. W pewnym momencie ona otworzyła drzwi a mój ojciec był tak

zeterminowany, ja wtedy pracowałam w żłobku, że przybiegł do mnie: Choć, zostaw pracę i choć bo matka umiera. Umarła. Rzeczywiście ona jest już zimna i nic nie mówi. Jeśli matka umarła to ja też nie mam po co żyć i zostawiam tobie tę gromadkę dzieci. Radź sobie. Rób co chcesz. Prawdopodobnie on to powiedział z rozpaczy, z determinacji. Ja znałam mojego ojca, który był pełen poświęcenia dla ludzi, dla rodziny. Ale wtedy to mu było wszystko jedno. No, ale na szczęście moja matka podniosła się, wyszła z tego. Ale to był 1941 rok. Zaczęło się lato. Nie mogła wychodzić. Pamiętam jak wracałam z pracy. Bo kopalnia była na takim wzgórzu i tam było to osiedle, a nasze baraki zesłane były w takiej dolinie, kotlinie oddalonej o jakieś dwa kilometry od tej osady. I ja zobaczyłam jak moja matka podpierając się takim kosturem posuwa swoje takie ogromne, słoniowate nogi, a była to kobieta, proszę sobie wyobrazić ile ona miała lat, urodzona w 1904 roku, a to był rok 1941. Ledwo poruszała tymi nogami. Szła do lasu aby się pożywić, żeby sobie zerwać parę jagód. Moja młodsza siostra urodzona w 1929 roku. Teraz na wiosnę tego roku przeszła na emeryturę. Mając 11 lat poszła nianńczyć dzieci żeby otrzymać normę chleba, żeby się mogła sama wyżywić. Dzięki temu inne dzieci mogły przeżyć. I ona poszła do takiej kobiety, która prowadziła sklep. Jej mąż był jakimś funkcjonariuszem. Wyjechał, zdaje się że przed wybuchem wojny i już nie wrócił. Był na froncie jakimś komisarzem. Miała trzy letniego synka i moja siostra - jej to nic nie obchodziło że to jeszcze dziecko mające 11 lat - musiała wszystko robić, absolutnie. wszystko: prała, gotowała, sprzątała, bawiła to dziecko. I tam już została do końca, do wyjazdu do Polski. Potem już była troszkę starsza i troszkę większa. Młodsza siostra, ta z 1932 roku. Też mama próbowała aby poszła gdzieś dzieci nianńczyć. Ale ona poszła - trzy dni - zawsze była taką panienką, wróciła i powiedziała do mamy Mam ja się położę, ja nie chcę niczego. Nie chcę chleba. Nie chce

niczego. Ja się położę i umrę. Pozwól mi umrzeć. Ja nie mogę, ja nie mogę pracować tych pieluch. Ja się brzydzę. I ona wróciła do ~~igrek~~ lagru.

Ale jeszcze właściwie o moim rodzeństwie. Jak powiedziałam mamę dwie siostry i trzech braci. Tadeusz urodzony ~~xx~~ w styczniu 1933 roku. Nie miał jeszcze 10 lat jak ojciec zaniemógł, matka była taka chora. I proszę sobie wyobrazić ile drzewa trzeba przynieść z tajgi jakie zaopatrzenie w opał zrobić bo w zimie nie było mowy. Zresztą o zimie jeszcze powiem. Ale przeżyć te straszne mrozy, burdę, zawieruchę. To dziecko, to małe dziecko na plecach ~~przynosiło~~ przynosiło słozy drewna aby starczyło na całą zimę. My teraz po tylu latach patrzymy na niego i mówimy: Tadek powiedz prawdę. To jest nieprawdopodobne żebyś ty 9-letnie dziecko mógł wtedy nagromadzić tyle opału, ale to prawda. On jest chemikiem z wykształcenia. Choruje, jest ciężko chory. Ma zrujnowane zdrowie tymi przeżyciami, bardzo choruje ale pracuje. Jest od ochrony środowiska. Tym się zajmuje i projektowaniem oczyszczalni. I to biedne dziecko ciągnęło to drzewo, bo przecież on nie mógł wziąć go na plecy. On tylko je ciągnął. Ciągnął te duże konary, te belki drzewa. Takie wyschnięte bo przecież jeden las wyrasta i drugi pada. To trzeba było znaleźć sposób żeby te wszystkie gałęzie oczyścić i żeby można było je poruszyć, wysuszyć. I on to wszystko gromadził i przynosił do domu bo nie miał kto tego robić. Jak ojciec czuł się niecodlejiej to mu pomagał. Wreszcie pod koniec 1941 roku ojciec poczuł się lepiej i dali mu pracę przy kopalni. Był jeden Polak, mechanik i zdobywca. Był to pierwszy traktor wyprodukowany w Rosji. Jakoś go tam dowieźli. Nie wiem jak. Transportowych samolotów nie było, ale ten traktor tam był. Nie był on przysosowany do benzyny czy nafty. Ten traktor był przysosowany do drzewa. Miał taki duży zbiornik na takie klocki brzożowe, to się nazywało "czwórki". Tak że ojciec siedział i ciął te czwórki dla traktora

tora. Na paliwo dla niego. To był jedyny ciągnik w okolicy. Oni zresztą dorabiali części, kombinowali jak mogli żeby ten traktor poruszał się. Ale rozgadałam się o drobiazgach.

~~- Jak. Przez pociąg o...~~ Ten pobyt tam był tragiczny. Proszę sobie wyobrazić jakie tam były mrozy, jakie tam były śniegi - kilkumetrowe. Jak spadł śnieg to widać było tylko czubki drzew. A my bez butów, bez odpowiedniego ubrania. Moja matka, która nigdy nie miała talentu do szycia potrafiła uszyć kurkę z wełnianego szala i tę kurtkę w zależności od tego kto ją potrzebował: ja czy ojciec. To było jedyna możliwość wyjścia do lasu, podczas dużego mrozu. No bo co było robić. Mama miała porządne palto to je sprzedawała za jedzenie. Jakies porządniejsze suknie też sprzedawała. Pantofle, nie pamiętam jak to się stało, że zachowała. Takie ładne pantofelki. Albo zapomniała o nich albo żal jej było zostawić. Wzięła je z sobą. I wymieniła je za wiadro kartofli jesienią 1940 roku. Zresztą to nas uratowało. W końcu już pobytu na Syberii te kartofle nas uratowały. Teraz właśnie o tym opowiem.

Więc butów nie było. Nie było co włożyć na nogi. Ja miałam jedynie sandałki z Polski i to je utopiłam w rzece ratując palącą się tajgę. Ale najgorsze, że nie było co jeść. Ale jeszcze gorsza była beznadzieja. Nie było radia, nie było światła. Wprawdzie dano nam takie kaganki na karbid. Ale karbidu brakowało. I to się skończyło. Tylko można było świecić łuczywem. Zresztą wieczorami nie było co robić, to się po ciemku siedziało. W ogóle to przez kilka lat nie widzieliśmy słowa drukowanego. Nie było radia. Wprawdzie tam, w osiedlu było radio, taki kołchoznik. Dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna a tak to o niczym nie wiedzieliśmy. Byliśmy odcięci od świata. Co złośliwi mówili nam, że Polski już nie ma, już jej nie zobaczymy. Musicie się przystosować. Stąd wyjścia nie ma. Widzicie my je-

steśmy w Rosji urodzeni, ale stąd nie wyjdziemy, bo nie ma takiej siły. Jak ?, I to właśnie trwała do 1941 roku. Rok 1941 był już troszeczkę lżejszy bo myśmy już wiedzieli, że trzeba ususzyć sobie trochę grzybów, trochę zamarynować, takich rydzów, czy też innych grzybów i troszkę jagód. Przez lato troszkę się pojadło tego dziwnego czosnku i już było troszeczkę kzej. To znaczy ludzie już tak nie puchli z głodu, chociaż byli bardzo głodni. Ja sobie przypominam jak szłam po wapno i myślałam czy tylko coś się nie stanie z moim żołądkiem, bo ja czułam że z tego sypnie się żołądek, że ja już w ogóle nie mam żołądka, że to jest coś takiego, że ja mam wewnątrz pustkę. Po prostu pustkę, że nie tam nie ma. Już nie mówię o tym że człowiek był tak straszliwie słaby, że ledwo się poruszał. Mój ojciec się zastanawiał: dzięki temu klimatowi, że czyste powietrze i dobra woda źródłana. Tylko to nas jeszcze ratowało. Bo rzeczywiście powietrze było czyste.

Jeszcze dwa słowa o zimie. Prawdziwa zima zaczynała się już w październiku. Wrzesień to był okres przejściowy. Przed wszystkim robiło się ciemno. Dzień skracał się do trzech godzin i już była noc. Jak zaczął padać śnieg to nie daj Boże było zostać w drodze bo to był koniec. Można było nie trafić do domu, nie dojść. Miejscowi nazywali to "purga". To śnieg się sypał przy zupełnie bezwietrznej pogodzie, jakby prawie mąka sypała się z nieba. To się sypało jak z sita. I po godzinach to nasypało się tego na metry. Tego śniegu. Wtedy, jeżeli ktoś został w drodze a nie znał tamtych zwyczajów i nie znał drogi to śmierć. Koniec. Mogł się tylko kierować śnieżkami po drzewach. Po kierunku drzew. To też jest wielka sztuka. No i mrozy. A jak już przestawało padać to następował mróz. Mrozy były straszne. Ja pamiętam kilka takich dni w roku, w zimie kiedy było poniżej 45 stopni. Do 45 stopni chodziło się do pracy i do szkoły. Poniżej 45 stopni już można było nie iść do pracy. Chyba, że w zamkniętym

pomieszczeniu. A życie - jak już wspomniałam - zaczynało się w ciągu dwóch tygodni. Wiosna, właściwie lato, upał, piękna pogoda. Wszystko robiło się zielone. Było pięknie, cudownie. Ta przyroda budziła się do życia. To było coś pięknego. Ale zaczynały się - bo to były mokrada - komary, a przede wszystkim muszki. I to była prawdziwa zaraza. Więc one atakowały przede wszystkim wokół, oczu, usta, nos, uszy. Jeśli był rozpięty kołnierzyk to szyję. Wokół ~~razno~~ w ogóle było bardzo trudno spędzić się. Więc na ogół nosili tam takie siatki, moskitiery. Ale to starzy bywalcy i tubylcy, którzy mieli jeszcze jakieś zapasy. Bo przecież sklepów nie było i niczego nam nie dowozono. Tak więc jedynym ratunkiem było grube smarowanie się dziegciem. I każdy nosił przy sobie butelkę tego dziegciu, ponieważ dziegć wysychał, spływał. Na początku nim się skóra przyzwyczaiła to nie tylko z twarzy ale i z rąk z delikatniejszych miejsc skóra schodziła. Po prostu tak była spalona tym smierdzącym smarem. Ale z czasem człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Więc można powiedzieć, że ten dziegć nas uratował. Jeśli by ktoś zasnął to te muszki ~~f~~acięły by na śmierć, ponieważ następowałby ~~u~~ upływ krwi, który potem trudno było zachamować dlatego, że ~~o~~ otwierały się naczynia krwionośne. To było coś strasznego. Już nie mówię o tym jak była podrażniona skóra, która ~~p~~o tym tak swędziała. Więc to była plaga. Ale jeżeli miało się taką pracę przy której można było rozpaść ognisko, takie żeby było dużo dymu, z jakiś mokrych liści, to one jednak od dymu uciekały. No ale jak się szło do lasu to było niemożliwe. Nic tam nie rosło. Jak myśmy przyjechali to nie było tam absolutnie niczego. Baraki były w tajdze. Ale Polacy zaczęli karzować ~~t~~ę koło tych baraków. Wycinali drzewa. Niektóre zostały już wycięte to budowali baraki. No i kopali tę dziewiczą ziemię. Z Południa przywieźli trochę kartofli do ~~s~~łóWKI dla górników, ale te kartofle jak był głód to jakoś tam przenikały za ubraniami, za ~~w~~ar. Jak już wspomniałam

mama też wymieniła nam wiadro ziemniaków. Ziemniaki były takie ładne. To były takie wczesne, różowe ziemniaki. Więc zachowała gdzieś te ziemniaki. Zachowała je do Wigilii, do Bożego Narodzenia żeby się było czym podzielić zamiast opłatka. Ale kilka ziemniaków, jak siostry powiadają, chyba dziesięć ziemniaków zachowało się do wiosny, gdzieś pod jakieś wyrko wsadziła te ziemniaki - dzięki temu one przetrwały. I posadzili te ziemniaki. I proszę sobie wyobrazić, że z tych dziesięciu sztuk wyrosło siedem wiader pięknych ziemniaków, z tej w tej jałowej, dziewiczej ziemi. I to już potem tak się roznosło, że oni na następne lata to mieli przynajmniej parę wiader ziemniaków. Był wykarczowany niewielki kawałek ziemi. No a potem przyszli inni Polacy i też karczowali. A Rosjanie w 1942 roku, jak już mocno bieda doskwierała to przynieśli nasiona kapusty i przy kopalni wykarczowali czynem społecznym 1,5 hektara tajgi i tam sadzili ziemniaki i kapustę na wyżywienie tych górników w stołówce. Jak ja poszłam do wojska ^{to} moją mamę stróżem tej kapusty ustanowili, żeby pilnowała aby ludzie nie rozkradli.

Co tam się trafiało? Rzadko ale czasami białe zające. Białe dostosowane do przyrody, do śniegu. Były także w takich odległych zagajnikach, zwłaszcza na wiosnę, jak się szło po ten ozosnek, cietrzewie, których tokowanie było słychać i tokowanie głuszców i walki cietrzewi. No i niedźwiedź brunatny. Z niedźwiedziem brunatnym miałam nieszczęście zetknąć się bardzo blisko. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

W zimie, to znaczy w samym środku, gdzieś w końcu października w listopadzie przyjeżdżali do nas na reniferach Jakuci, ale dla nas było ono nieosiągalne, mięso. Zresztą oni nie mogli go sprzedawać bo oni musieli wszystko odstawiać. Ale czasami przywozili ryby. Było mnóstwo ryb tylko nie było czym łowić. Nie było żadnego sprzętu ale było mnóstwo ryb. Jak się przechodziło przez rzekę to po prostu

zazdrość była patrzeć jakie tam ryby pływają. Jakie wspaniałe ryby i w jakiej czystej wodzie. No ale to było dla nas nieosiągalne. Te ryby łowili Rosjanie. Zresztą w barbarzyński sposób. Oni mieli takie dwuosobowe łódki, dosyć głębokie i mieli oszczepy, a na przodzie łódki taki przystawiony pręt żelazny i miejsce na ognisko. Tam paliło się korę z brzozy, jakieś mokre drzewo. Tak że było światło i ryby się w nocy do tego światła zbliżały i oni je oszczepem zabijali. Ryby wypływały. Żadnego innego sprzętu nie było. Nie było także żadnych spółek czy jakiś kolektywów które chociażby dla sklepu łowiły. Nie było. Nie było ludzi. Bo ci którzy ~~byli~~ byli to wszyscy byli przygotowani do tego, żeby wydobywać złoto bo to było w wtedy najcenniejsze zwłaszcza w okresie wojny.

W 1942 roku było jeszcze ciepło. Ale nie przypominam sobie miesiąca. Musiło być pod jesień. Przyszła wiadomość, że premier Polski Władysław Sikorski razem ze Stalinem uzgodnili żeby zwolnić wszystkich Polaków, żeby ci którzy chcą mogli się poruszać po terenie Związku Radzieckiego. Powtarzam tak jak ta wiadomość do nas dotarła. I rzeczywiście ten NKWD-zista, który nas pilnował wyprowadził się. Ich było dwóch, na zmianę. Zamknął kantor i przestał przychodzić. ~~Przestał~~ przestał się nami interesować. Przestali nam dawać te produkty jakie mieli, co w okresie wojny było zupełnie tragiczne. Tylko do ogólnego sklepu na górze. Trzeba było chodzić do osiedzi po chleb i jeśli było to po coś innego. Wolno było przemieszczać się po Krasnojarskim kraju. Bo ten teren należał właśnie do Krasnojarskiego kraju. I dwie rodziny młodych ludzi wybrały się ~~z~~ nas. To było jeszcze przed zimą. Wyjechali na Południe i jedna rodzina dotarła bo z niej spotkałam parę osób będąc w wojsku, jadąc do Krasnojarska. Potem ich rzeczywiście spotkałam w Polsce, ~~z~~ w Warszawie. A druga rodzina niestety była razem z dziećmi, spotkałam jedynie jedną osobę.

Najbliższy punkt docelowy to było ponad 100 kilometrów, żeby się

zatrzymać. Po prostu nie wiadomo było czy niedzwiedź ich nie rozszarpał, co się z nimi stało. Ja już w tej chwili nie potrafię powiedzieć. Wiem tylko że z ośmiu ludzi to ocalała jedna osoba.

- Jak się nazywali ?

- Właśnie. Muszę sobie przypomnieć. Właśnie wczoraj zastanawiałam się nad osobami, żeby sobie przypomnieć. Nie chciałabym przekreślić nazwiska. Bo jest rodzina, który ocalała. To pamiętam, to byli Tomczykowie. Oni jednak dostali się na Południe. A te inne rodziny - może sobie kiedyś przypomnę, to uzupełnię. Ale w tej chwili to ja nie chcę przekłamać.

Może powiedziałabym jeszcze kilka słów o stosunkach z tubylcami.

To byli bardzo szlachetni ludzie i to niezależnie od tego czy to byli zesłani dawniej czy później. Kilka osób mieszkało tam dłużej, kilka rodzin mieszkało tam już jako ludzie wolni. Może ten klimat, te ciężkie warunki, to nieludzkie życie wytworzyły w nich taką jakąś samoobronę ale i pomoc bliźniemu. Oni po prostu pomagali. Wtedy - jak już wspomniałam było nam bardzo ciężko i oni przecież wiedzieli. Ja pracowałam w żłobku. Po kilku miesiącach przeniesiono mnie do przedszkola i już w przedszkolu awansowałam - bo byłam wychowawczynią. Przyjmowałam dzieci. Oglądałam czy są czyste i zdrowe - od matek brałam. A ponieważ bardzo mnie zależało na tej pracy, w ogóle kocham dzieci, nie skrzywdziłam nigdy dziecka. Więc dzieci szły do mnie. A zawsze pracownicy przedszkola były bardzo zadowolone z tego, więc ja pełniłam rolę tak zwaną "prijomszczycy", tych dzieci. One wiedziały, że jest ciężko. Na przykład: Na 20 dzieci były dwie szklanki. Jedna szklanka na 10 dzieci kaszy mannej i puszka mleka skondensowanego, słodkiego. To one wylewały to mleko do wody i na tym mleku gotowały kaszę manną. To było podstawowe jedzenie dla tych

dzieci w przedszkolu. A puszki nie płucały tylko mnie oddawały i ten mój braciszek, który urodził się po przejeździe na Syberię, na miejscu, on był taki wygłodzony, taki chory. On miał krzywicę. Miał nożki takie krzywe. On nie pozwalał sobie pokazywać.

W barakach były takie małe okienka i parapety. Właściwie to nie były parapety tylko takie zagięcia i na tym go trzymano a on stał i patrzył i wołał: Wadza idzie. Jeszcze nie mógł mówić wadza idzie to mówił wadza idzie. Żeby przynieść mu tę puszkę i tak czekał. Zresztą na to wszystkie dzieci czekały. Żeby chociaż łyżeczkę tego słodkiego dostać. Żeby chociaż troszeczkę tego skosztować. I to była cała praca.

Wreszcie w 1942 roku zachorował. Bardzo ciężko chorował. Zabrał go do szpitala. Tam była straszna biegunka. I tam dostał odwodnienia i zmarł. Ja czuwałam przy nim. Tam był taki mały polski cmentarz w tajdze i tam ~~zostały~~ zostało pochowanych parę osób, które zmarły z głodu i jakiś chorób i nie wiadomo z jakiś innych powodów. Po prostu umarli, większość to byli młodzi ludzie.

Jeden chłopak, imienia nie pamiętam, właśnie z rodziny Wątrobów - rodzice nazywali się Wątroba. Była to tragiczna rodzina. Syn pracował w kopalni. Więc kiedyś zostawili go na drugą zmianę bo kogoś brakowało. On był głodny. Mieli im przynieść porcję chleba. Jeszcze nie zdążyli przynieść. On przechodził z niższego poziomu na wyższy. A przechodził po drabinie, która była oblodzona bo to było już pod wierzchem, pod samą ziemią. I zsunęły mu się nogi i runął. Zabił się na miejscu. Więc zrobili mu na miejscu pogrzeb w otwartej trumnie i pochowali ~~na~~ na tym cmentarzu.

A córka jechała ze mną do wojska i utonęła w Jenisieju. Taż tak tragicznie utonęła. Wtedy utonęło dziewięć osób, jak jechałam do wojska. Topiliśmy się.

Ale oni pomagali. Żeby nie zranić mojej godności to tak mówili:

Przyjdzie dzisiaj do nas na herbatkę po pracy. Przyjdź do domu, przyjdź. No to ja mówiłam, że dzisiaj nie mogę bo matka będzie się niepokoić. Muszę wrócić do domu, mam zresztą co robić w domu. No dobrze. No to powiedz matce, że jutro to ty koniecznie przyjdiesz. I jak przychodzila, to mnie częstowała herbatą. To znaczy herbaty tam nie było. To były suszone pędy i liście dzikich malin i jeżyn. Po prostu jakiś tam suszonych i parzonych roślin z których robiono herbatę. I zawsze był jakiś kawałeczek cukru, jeszcze ze strych zapasów, sucharek - żeby torchę podzieliła, żeby się napiła i żeby zjadła kawałek tego sucharka. Był kawałeczek chleba, który na mnie czekał. Mogła rodzina podzielić się tym kawałkiem chleba. Tak więc doznałam wśród nich wielu takich gestów ciepła, solidarności. Jak już wspominałam przedtem o tym mleku. Może dlatego, że to byli sami biedni ludzie. Mieli tyle ile mieli aby przeżyć ale ostatnim kawałkiem umieli się podzielić.

Ja mogę powiedzieć, że z tego zesłania, o jednym tylko incydencie. Właśnie wtedy, kiedy pracowałam w przedszkolu, to był chyba koniec 1942 roku, a może wiosną 1943, to już w tej chwili nieważne. Zmienił się sekretarz komitetu siedlowego. To był właściwie obóz politycznych. Bo tam były kopalnie złota, zesłańcy i inni tacy starzy dłużnicy tego systemu. I przeglądał listy: kto? gdzie zatrudniony? To była jego praca w pierwszych dniach objęcia przez niego władzy. No i doczytał się kto to taki. Nazwisko. Imię. Kto to taki? To Polka z tych zesłanych tutaj pracuje. A to pracuje, dobrze pracuje. Ale ona tutaj nie może pracować bo ona jest wrogiem Związku Radzieckiego i dlatego nie może tutaj pracować. Jak wyście mogli do tego dopuścić żeby wróg Związku Radzieckiego, obcy człowiek wychowywał nasze sowieckie dzieci. No i decyzja, że już od jutra drzwi przede mną zamknięte w tym przedszkolu. A kierowniczką tego przedszkola była nauczycielka z zawodu. Jej rodzice byli zesłani a ona ukończyła

szkołę i pracowała tam jako kierowniczką. Nazywała się Nina Mordinska. Bardzo porządny człowiek. Zresztą cała rodzina była niezwykle prawa, niezwykle przyzwoita. I ona przyleciała do nas do baraku wieczorem. Ostrzegła mnie, że ja już od jutra nie będę pracowała, ale że ona będzie starała się razem z innymi aby jakąś pracę znaleźć bo wiedzą, jakie to ma dla mnie znaczenie. Ale żeby nie martwić mamy, żeby moi rodzice się nie dowiedzieli że znalazłam się w takiej sytuacji. A mnie chcieli po prostu uprzedzić. Rzeczywiście ja nazajutrz poszłam a one mnie radośnie witają i mówią: Słuchaj będzie sz pracowała. Więc ja taka zdumiona pytam: A co się stało? Rzyszy matki i między innymi jedna z nich pracowała w centrali telefonicznej. Prz kopalni był jeden telefon i ona miała tam dyżury w centrali telefonicznej. Przybiegła, to była bardzo miła, pani z Leningradu uciekinierka, bardzo inteligentna, a druga to była pielęgniarka i pracowała w szpitalu. Była w ogóle damą i wspaniałym człowiekiem. I one przybiegły i jeszcze kilka matek i powiedziały, że one protestują, że one życząx sobie żebym ja pracowała, że ona pójdą pracować do kopalni, do lsu ale ja będę pracowała w przedszkolu bo ich dzieci mnie kochają i ja jestem bardzo dobrą wychowawczynią. Dzięki temu ja w tym przedszkolu ocalałam. Wydaje mi się, że przede wszystkim może to był ich interes ale może to była także taka jakaś ludzka solidarność. Mogły przecież powiedzieć: Dobrze, przyjdzie druga. Przecież też naszym dzieciom krzywdy nie zrobi. Ale to była taka niix wielka ludzka solidarność. Tych zwykłych ludzi. Tam na przykład nie było zwyczaju zamykania drzwi. Tam nigdy się nie zdarzało, wśród tych zesłanych, zwłaszcza z terenu Krasnodaru albo Tatarów, żeby coś zginęło, żeby coś komuś ukrąść. To było tak jak jakaś pierwotna wspólnota. Coś fantastycznego. Mało tego. Jak przyszli Polacy, zwłaszcza w pierwszym roku zesłania kiedy byli głodni, była bieda, byli zdererminowani, to się zdarzyło, że kilkakrotnie włamali się do mieszkań

w których nie było zamków, że poszli do tajgi, wydoili krowę i wypili mleko. Ale niestety muszę powiedzieć, że to też się zdarzało.. Ja wiem, że to się zdarzało nie z powodów bytu, ale niestety było to przykre ale to miało miejsce. I po za tym ta nasza wspólnota była tak żyta, może z małymi wyjątkami. Bo ktoś miał jakąś księżkę do nabożeństwa. Tam obowiązywał ruchomy kalendarz. To według niego obchodzili się święta, wiedzieli się kiedy jest jaki dzień w ten sposób obliczali się, bo przecież tam nie było tygodnia pracy. Tydzień pracy wprowadzono dopiero w 1942 roku. Przywrócili niedzielę siedmiodniowy tydzień pracy. A tak to było pięć dni pracy i szósty dzień odpoczynku.

Tatarzy byli niezwykle czysti. Bardzo uciewi. Mam o nich jak najlepsze wspomnienia. Zresztą o wszystkich mam jak najlepsze wspomnienia. Jeśli bym kiedykolwiek miała możliwość odwiedzenia to z radością bym odwiedziła, jeśli ktokolwiek z tych ludzi żyje, żeby ich zobaczyć i podziękować za to i za jakiś okruh nadziei bo ich postawa, ich spokój, bo my byliśmy zrozpaczeni, zdeterminowani. A oni mówili: Przyzwyczaj się, nie rozpaczaj bo to cię do niczego dobrego nie doprowadzi. zachowaj spokój. Tylko spokój może nas uratować. Było to może i słuszne i ludzie się złąścili i negowali ale to było bardzo mądre. Tak że ja zachowałam o tych ludziach jak najlepsze wspomnienia. I jak najzyczliwsza jestem dla nich. Może nie powinnam tego mówić, ale mieszka tu rodzina takich autentycznych Rosjan - Moskwan w Warszawie. I ja żeby wynagrodzić z serca tamtych ludzi, którzy okazali nam tyle ciepła i serca wtedy kiedy myśmy byli na dnie, kompletnie na dnie. To ja zawsze staram się pamiętać o nich - to książkę podręczę, to co mi na działce urośnie, jakieś świeże warzywa. No to nie są jakieś wydatki dla mnie, czy jakieś cenne rzeczy. Po prostu symbolicznie pamiętam, że oni tu nie mieszkają w

swojej ojczyźnie. Oni tu są ponieważ są to szlachetni, dobrzy ludzie i jak ona taka wzruszona mówi że nie pamięta a pani tutaj pamięta. Pamiętam ze względu na tamtych ludzi, którzy w ciężkich godzinach naszego życia okazali nam serce. To ja teraz płacę. Oczywiście w tej chwili jest to symboliczna zapłata, ale chodzi o to że często się mówi, to jest prawda, że byt określa świadomość. I tak jest bo w tych ciężkich chwilach to ludzie tępieją. ~~Przez~~ Przesztają myśleć. Właściwie to tacy urabieni jak zwierzęta przychodzą aby się powalić aby wyspać i nabrać sił. Ale jednej rzeczy nie zabrali. Ja wiem. Nie tylko mam przykład w swojej rodzinie ale i tych, którzy byli zesłani ze mną. Nikt godności nie zabrał, nikt się nie zaprzedał. Jak był nawet przymus, żeby zmienić obywatelstwo, że będziemy wolni bo Niemcy pomogą nam, wywożą nas wszędzie gdzie tylko będziemy chcieli, dadzą nam możliwości. Nikt nie zrezygnował. Jak nam mówili: Co wy się upieracie, przecież nikt stąd nie wyjedzie, przecież wasze dzieci tracą świadomość że byli Polakami. Nikt, nikt w to nie uwierzył. Nikt. Trzymała nas, czy ja wiem, można powiedzieć, że jakaś nadzieja. Jak już o Sikorskim usłyszeliśmy to już uwierzyliśmy że jest ktoś kto pamięta o nas. Ale wtedy o Sikorskim powiedzieli tylko tyle co ja powiedziałam i myśmy nie wiedzieli, że można iść do armii. Zresztą gdyby nam nie pomogli to jak można by było pójść tam, do Anglii. Przecież to trzeba było iść trzy dni do rzeki, żeby stamtąd dostać się na statek, który musiał dowieźć do Jenisiejska żeby się można było przesięść na statek dalekomorski, ten który pływa już po wielkim Jenisieju i do Krasnojarska i dalej już myśleć. Ale jak stąd się wyrwać - przecież to 1000 kilometrów. Tysiąc kilometrów od miasta, na bzdroszach, na bezludziu. Mój wujek, bo jeden brat mamy tam mieszkał, który zmarł na Uralu. Zresztą jego żona i troje dzieci też. Najstarszego syna, który był pastuchem w kołchozie, pasł bydło. Po prostu miał dobre wyniki, dobrze pracował - et-

I zazdrosny drugi rywal - bo on strzymywał premie - utopił go w gliniance, dosłownie utopił. No więc tak tragicznie siedemnastoletni chłopak zginął. To tak cała rodzina w tym troje dzieci wróciło w strasznych warunkach. Moja matka ~~xxxx~~ mieszkała już w Łodzi. Przygarnęła te dzieci, które ocalały. Drugi brat mamy mieszkał w Sohalu i z Sohala go zabrali. Tam zresztą mieszkał wujek z żoną i dwoma synami i babcią. Matka mojej matki, pani 76 - letnia - też wrócili na Ural. I tam babcia zmarła. Wujek wstąpił do armii Andersa. Przeszedł przez cały Bliski Wschód i stoczył walkę pod Monte Cassino. Był odznaczony. Dwa lata temu ~~xxx~~ zmarł. Mieszkał w Łodzi. A jego żona została z dziećmi. Dzieci dostały się do jakiejś polskiej ochronki i wyjechały na Bliski Wschód. Ciotka nie chciała wyjechać. Bardzo źle zrobiła. Wskutek tego utraciła dzieci.

- Czy miały miejsce jakieś ucieczki w tym czasie ?

- Nawet nie wiem czy jakieś ucieczki miały miejsce. Z tego miejsca, gdzie my byliśmy. Jak pojechali na pierwszy sygnał, że można uciec to pędzili, ale nie byli w stanie dotrzeć. Bo tam były takie straszne bezdroża. A nawet jak się szło suchą tajgą no to z kolei były niedz ~~Wiedzie~~. Więc nie sposób było pojedynczo, tylko w sposób zorganizowany. Albo w lecie podwodami, albo rzeką. Ale rzeka, ponieważ były to potężne rzeki, to trzeba było mieć czym popłynąć.

Moja przyjaciółka z wojska Karola, poznałyśmy się, bo razem jechałyśmy do wojska, tam na Syberii. Karola Kupiec mieszka w Sulęczynie przy ulicy Nowotki.

To od nich ktoś uciekał. Jej ojciec był majorem, w każdym razie urzędnikiem państwowym. Najpierw zabrali go i nie wiedzą co się z nim stało. Matka z dwoma córkami była tam zesłana i tam zmarła. Obie córki pozostały. Młodsza w moim wieku i starsza o dwa lata Karola. I one też przeszły z armią do Polski. Teraz mieszkają na

Ziemiach Odzyskanych.

Ciężko było stamtąd uciekać. Ja rozumiem, że jak tam zsyłali do poszukiwania złota zesłańców z 1830 roku czy 1863 to właściwie nawet jak był samotny to niedaleko uciekł. Nie daleko. Mógł może później etapami. Jeżeli miał się gdzie zatrzymać i nie wydali go. Jak wiadomo to policja wszędzie tam była miała swoich ludzi. Więc jak chodziliśmy tam na grzyby, jagody to często zdarzało się, że trafiało się na stary spruchniały krzyż z datą. Z taką wyrytą sozorykiem w drewnie datą, którą można było jeszcze odczytać. Z nazwiskiem było już trudniej bo to czas już zatark. Ale ten lekarz, o którym już wspomniałam, pomógł mi rozpocząć pracę w przedszkolu, a raczej w żłobku. On był synem zesłańca i Rosjanki. Matka była Rosjanką. Miałam takie uczucie, że coś się w nim obudziło. Miał sympatię do Polaków. Musiał to robić bardzo dyskretnie, ale rzeczywiście bardzo pomagał.

Mój najmłodszy brat. Oczywiście dzieci nie miały żadnych zabawek, ale wszystkie dzieci muszą się bawić. Więc on bawił się młotkiem i szydłem. Dziecko chodziło w koszulce, była bieda. Rano wstawało, było bez majtek. Usiadł. Przystawił sobie szydło i przybił sobie siusiaka młotkiem do podłogi. Starszy brat, ten który zawsze patrywał w drewno na zimę dom. Zobaczył to. Wyrwał mu szydło, młotek schował ale nikomu nic nie powiedział, nawet matce. Dziecko wieczorem płacze, dostało temperatury i nie może zrobić siusiu. Matka obejrzała i nie zauważyła. Nie może to nie może. W nocy dziecko bardzo niespokojnie spało. Właściwie nie spało - płakało. Wówczas było to czteroletnie dziecko. Rano było zupełnie nieprzytomne. Matka odkrywa kocyk, patrzy a tam po kolano, siny, czerwony. Matka się przstraszyła. Krzyknęła: Jezus Maria. Co się stało. I starszy brat Tadeusz jej powiedział. No i co robić. Więc ojciec dziecko na ręce i do tego lekarza. On obejrzał i pyta co się stało. Więc ślady widać

ale dziecko. Więc natychmiast pojedziemy do szpitala. Wystarał się o konie z kopalni i wystarał się o podwoję. Ojca na wóz, bo ktoś jednak musi towarzyszyć. Nie było woźnicy więc myśmy tym koniem powozili. 25 kilometrów do tego miasteczka Pit, o którym wspomniałam. Przyjechaliśmy tam a oni nie mieli żadnych środków, żadnych leków. Tylko jakieś zioła i one rzeczywiście uratowały dziecko. Myśmy tam byli bodajże dwa dni. Rzeczywiście temperatura spadła. Może też takie warunki tam panujące. W każdym razie uratowali dziecko - wszystko jest w porządku. Mimo tych strasznych warunków ledwie mogli sobie pomagać. I w miarę tych możliwości jakie on miał to rzeczywiście pomagał ludziom.

Losy związane z tym okresem, oczywiście pośrednio, bo jak już był najtrudniejszy okres - Niemcy byli pod Stalingradem. I to był dla nas też okres najtrudniejszy dlatego, że po prostu była nędza, była bieda. Nie dowieźli żywności. Było okropnie.

Trzeba było wyżywić konie. Kilka koni pracowało w kopalni. Kiedyś w kopalniach pracowały konie. Więc i tam też pracowały. Żadnego ziarna tym koniom nie dowozili. Tylko tym dzikim sianem, tą trawą, którą się suszyło, którą się zdobyło na takich pastwiskach, ~~na~~ polankach w tej tajdze. To trzeba było skosić, ale nie było komu. Nie było ludzi. Wobec tego postanowili, że ja będę kosić siano dla koni na zimę. Więc ja wpadłam w popłoch. Nawet ~~w~~ zupełną histerię. Zaczęłam płakać przecież ja nie umiem kosić. Co ja zrobię. To się nauczysz. Ale przecież ja nie wiem nawet jak zmontować kosę. Przecież ja kosy w życiu nie widziałam. Jak się ostrzy? To się nauczysz ostrzyć. No dobrze. Ale jak się klepie. Jest taka babka i klepie się młotkiem. Wygina te wszystkie wygięcia, Stępione ostrze kosy. A to jest taki kubaniec. Oni tak nazywali niektórych zesłańców. On był bardzo zamożnym, bogatym gospodarzem. On się zna na ~~rolnictwie~~. To on będzie kosić to siano. To znaczy, że on nie będzie kosić siana bo on miał pod osiemdziesiątkę

Ledwo się staruszek poruszał. Ale kosę to na pewno wyklepie. Bardzo dobrze. Jeszcze dwie panie. Jedna Rosjanka pięćdziesięcio cztero letnia, więc już taka sobie pani leciwa i młoda dziewczyna, młodsza ode mnie. Na syberyjską zimę.

Jest taka wyspa, którą opływa rzeka, ~~dużyx dużyx~~ dopływ chyba rzeki Podkamiennej Turguskiej. Tak mi się wydaje bo to się na Północ jechało. Na Północny-wschód. Pojedźcie rzeką, w górę rzeki. Tam jest taka wyspa. Na tej wyspie nie ma drzew ale była koszona trawa. Dziadek wie gdzie i tam pojedźcie. Będziecie tam całe lato. Dostaliś_my kartki, żywność. Żywność została wydana na nas czworo i na cztery dni. Akurat w kopalni padł koń. Nogę sobie złamał albo zdechł. Tego dokładnie nie wiem. W każdym razie koń padł. Więc w nagrodę, że my tam jedziemy to my dostaliśmy kilka kilogramów tej koniny. Jest początek lipca - ~~nie~~ no to jest już najpóźniejsza pora aby kosić. Więc my z tym mięsem jedziemy. Jeden cały dzień, drugi dzień w górę rzeki. To wygląda w ten sposób : że jest taka płaska szeroka łódź. Na tej łodzi my siedzimy z żywnością, ze swoimi węzłkami, kosami, młotkami, co tam potrzeba. Ze swoim węzłkiem odzieży. Bo przecież jest lato i taki jamszozyk, taki który razem z nami i z koniem idzie w górę rzeki brzegiem i kieruje łódką. W ten sposób pod górę rzeki ciągnie tę łódkę. A z powrotem koń stoi na łodzi, którą spławiają. Coś tam wioził z powrotem. Bo tak łatwo to tam nie było. Na drugi dzień tej podróży dopływamy do miejsca, gdzie jest płyca i trzeba przejść przez tę wodę wplaw. Tak jak połowa naszej Wisły, ale jest taki bród, jest takie oznaczone miejsce, bo to wiadomo jest bystra, górską rzeką. Bo jak już powiedziałam, to był bardzo górzisty teren i w tym miejscu się przechodziło. Tak mniej więcej i metr głębokości. A na brzegu, gdzie wysadził nas ten powożący stał wybudowany taki drewniany budynek w którym jest łaźnia

Jeżeli tam ktoś pragnie to żeby miał się gdzie wykąpać. Tam się przynosi drzewo, wtedy grzeje się kamienie. Wrzuca do gorącej wody i jest para wodna bardzo dobra do kąpieli. Jest już późno, ale my musimy się przeprawić.

I dosiedliśmy taką chabetę, konia żeby można było to skoszone siano ciągnąć przy pomocy doczeplonego sznura o tę kopkę i przy okazji koń się odpasie. Bo to wyszedł z kopalni taki na wpół ślepy koń żeby on z nami tutaj pobył, żeby miał wozasy.

No a teraz trzeba przejść w pław przez tą rzekę. Jak? My idziemy w pław, któraś wzięła zapalki na szyję, któraś wzięła kartki a resztę do worka i na konia. Dziadek wjechał na koniu a my będziemy w pław przechodzić rzekę. Po jednej stronie konia jest worek z naszą żywnością a po drugiej stronie konia są osełki, babka, do klepania, młotki i te wszystkie narzędzia, które są potrzebne. Kosy na plecy i z tymi kosami, bo na konie kos nie można było położyć. Więc my z tymi kosami, które podtrzymują nas - łatwiej będzie nam przez to przejść. Koń przeszedł kilkanaście metrów, potknął się, bo był stary i ślepy i upadł w tej wodzie. Dziadek przez głowę tego konia wleciał do wody i to wszystko z tego konia, nie miał siodła tylko tak na oklep i straszliwy krzyk. Dziadek krzyczy: Worki się utopowały. No więc my z tymi kosami. Co robić? Wrócimy do brzegu. Rzucamy na brzeg kosy i te swoje jakieś manatki i zaczynamy szukać tego co wypadło po tym upadku, przy tym wielkim, szybkim prądzie wody - te górskie rzeki miały bardzo zimną wodę - worki rozwiązały się bo były lekko związane a ten z żywnością w ogóle poszedł a ten ciężki z tymi kamieniami młotkami został. Ściemnia się już. To słońce jest już nad Zachodem a myśmy zesztyniały w tej wodzie a koń podniósł się i poszedł na brzeg, na tę wyspę na której my mamy się zainstalować. Dziadek też już ledwo stoi, przewraca się w tej wodzie. Myśmy jego też doprowadziły do brzegu, posadziły tam. Wreszcie on powiedział: To niech jed-

na idzie po kosy, przyniesie je to ja skoszę trawę żeby zrobić szalasy. Dziadek zaczął zajmować się szalaszem a myśmy szukali do ciemnej nocy. Zesztywnialiśmy, ztospaczone. Nie możemy znaleźć tego worka - i oczywiście nie znalazłyśmy. Nieprzytomne z zimna wyszliśmy z tej lodowatej wody. Zupełnie ztospaczone. Nie mamy co jeść. Wszystko zginęło, wszystko utonęło. Nie można się z tym pogodzić. Pierwszy dzień to można jeszcze o głodzie. Teraz to ja jestem okropnie niewytrzymała na głód. Jak jestem głodna to nie wytrzymuję. Nie wiem jak to było wtedy. Nie wiem. Chyba z tego przerażenia, z tego zmartwienia, z tego co to będzie. Nie wiem.

Rano obudziłyśmy się i poszłyśmy kosić. Jakie to koszenie było można sobie wyobrazić. Ta Rosjanka to trochę umiała ale my te dwie młode to absolutnie nie. Ja przez trzy dni zanim nauczyłam się kosić to nie byłam w stanie przewrócić się z boku na bok o własnych siłach. Ja myślałam, że straciłam wszystkie żebra. Oddychać nie mogłam bo to straszliwie bolało, a zwłaszcza boki. Pamiętam że żebra mnie tak straszliwie od tego wysiłku bolały. Ale wreszcie nauczyłam się kosić. Warunki zmusiły mnie do tego, że nauczyłam się kosić.

My nie mamy co jeść. Jesteśmy straszliwie głodni. No więc co robić? Co robić? Ja wpadłam na pomysł. Tam były lasy, tajga. Bardzo ładne lasy i był tam taki ogromny rezerwat cedrów - podobnych do sosen ale mających bardziej miękkie i długie igły. Są to bardzo pachnące żywicą drzewa. Dość wysokie mające duże szyszki. Te szyszki zawierają takie jadalne orzeszki - bardzo smaczne, pachnące żywicą. No i ja nie już nie mówię o tym jakie pożywne. Nawet jak bywałam w Moskwie to czasami mogłam w sklepie, taki magazyn "Prigoda", kupić takie orzeszki żeby przywieźć do Polski i rozkoszować się nimi. Postanowiłam, że pójdziemy razem z dziewczynami, zetniemy taki cedr bo przecież nikt z nas na niego nie wejdzie. Która z nas wejdzie? Więc zetniemy cedr, weźmiemy worek, zbierzemy te szyszki. one są jeszcze niedojrzałe ale przypieczemy je, opalimy w ogniu żywicę i troszkę

się pożyjemy. I tak zrobiliśmy. Poszliśmy wieczorem już po robocie, po koszeniu siana. Przeszliśmy brzeg rzeki. To dziewicze poszycie. Przez prawie tysiąc lat padały te igły, to igliwie na to poszycie, miękkie jak poduszka.

Przy wodzie jak te muszki rzuciły się na nas myślałyśmy że nas całkowicie zjedzą. Oddychać nie można było. Nie można było otworzyć ust bo wpadały do nich dziesiątkami. Więc ja mówię do tej Rosjanki: Ty zażgni ogoń - zapal ognisko. Będzie dużo dymu a my z tą drugą będziemy ścinać drzewa. No wiedza tam już z siekierą, bo już nauczona wzięłam i podzieliłam to drzewo jak należy. Po tym pniu raz, drugi raz drzewo dostało i padło. Zerwałyśmy orzechy. Zebrałyśmy szyszki do worka. No i ja znowu do niej mówię: Ty poruszyła ogoń. Poruszyła. Zgasła ognisko, ale niezupełnie bo się jeszcze tkliło przez całą noc. Słońce tam wschodziło o drugiej. Dzień był już gdzieś około trzeciej. A dziadek budził nas o wpół do trzeciej. W dzień się wysypiał i mówi: A dzieci wstawajcie. A ja sobie myślę brzydkie słowa na niego: Stary dziad, bodaj byś zdechł. Ja jestem taka zmęczona, ruszać się nie mogę a on mnie tu budzi. A on znowu: Dzieci. A który to zażigła wczera ogoń. Jak on to powiedział to ja natychmiast odpowiedziałam, obudziłam się i poderwałam. Stoję i patrzę. A tam się w takim miejscu, gdzie my byliśmy małeńki dymek unosi się nad wodę. Bo to było blisko rzeki. Jezus Maria. Więc ja mówię do tych dziewczyn: Idziemy gasić pajgę. No to one też szybko. Ja miałam polskie, jedyne całe sandały. Oszczędzałam je. Po co ja je tam zabrałam to ja nie wiem. W każdym razie miałam te sandały. Może żeby sobie nóg nie kaleczyć. Bo nogi kaleczyło się do krwi. Kostki jak się przechodziło po kamieniach. Włożyłam te sandały i oczywiście natychmiast je zatopiłam. Prawdopodobnie nie-dobrze je zapięłam. Ale sandały nieważne. Przybyłyśmy tam i zaczynamy gasić. Żywioł ognia w lesie to jest coś nie do ~~op~~ opisania. Przedtem miałam okazję też społecznie chodzić gasić tak, że wiem co to

jest pożar lasu. Jeszcze takie żywiczne drzewa obrośnięte takim mchem. Póki jeszcze było słońce to ten ogień jeszcze się tlił. Rozprzestrzeniał się tylko w tym poszyciu. Jak słońce podniosło się z za gór i powiał wiatr. Nie wiem czy ten ogień spowodował wiatr. Nie wiem. Ale płomień buchnął w górę i palą się szczyty drzew. Tam rzeka, tu żywe pochodnie i my z życiem uciekamy. Ja spaliłam włosy, brwi i rzęsy. Zupełnie opaliłam. Ręce sobie poparzyłam. Miałam uszyty waciak. Matka mi uszyła taki, to się po rejsyjsku nazywało "sarapan". Na to potrzeba było bardzo mało materiału. Były to takie szroke szelki i taka mała sukieneczka. W tym spałam i to spaliłam na sobie. Ledwo z życiem uszłam.

I teraz zaczęła się tragedia. Jak to się zaczęło palić, a pogoda była taka, że przez dwa tygodnie nawet kropla deszczu nie spadła. Słońce stało, żar buchał z nieba i ta płonąca tajga. Dymy były ale je znosiło na południe bo wiatr był z Północy. Boże Mój. Dziesięć dni. Ja nie wiem jak ja to przeżyłam. Na początku oni wszyscy. Ta trójka staruszek. Co nas to obchodzi. Ktoś przyszedł i podpalił las, co my wiemy? Tu różni ludzie mogą się zawieruszyć - ktoś tam podpalił. A potem jak ten ogień się rozprzestrzenił na tysiące hektarów. Tu nie było drzew i woda nas oddzielała. Ale tam. Boże. A dziadek mówi, że za tą górą, tam są drugie sianokosy. Tam też koszą siano dla Pitu, tego gorodka. Jak tam się dojedzie, do tych sianokosów, tam pożar. A oni mają już skoszone i w kopkach. Koniec. Nas wszystkich powiedzą. To jest wojna. To jest sabotaż. Ja to tak widzę.

Najbliżej od nas to zsyłali na Diwinkę. Diwinka to była "osada" w drodze na Morze Północne Jenisiejem. Tam było bardzo dużo zesłanych Rosjan. I ja siebie widzę na Diwince. A jeszcze dlaczego? Dlatego, że: Bójda to nazwisko i oni mieszkali w tej miejscowości co my. To był taki zamożny, solidny gospodarz. Miał córkę

Honoratkę, która pracowała w stajniach, gdzie były konie przenożone do kopalni. Te która były wymieniane i odpoczywały w stajni i ona się nimi tam opiekowała. To był 1941 rok. Przywieźli trochę owsa. Wtedy dopiero zaczęła się wojna z Niemcami, albo to było tuż przed tą wojną z Niemcami, przywieźli trochę owsa i ona ukradła garść owsa tym koniom. Przyniosła do domu, aby tam utrzeć na kamieniach, które ludzie tam już przystosowali, na mąkę aby sobie zrobić polewkę, taki żurek. I ją złapali. I zesłali na tą Diwinkę. I pamięć o niej zaginęła. O tej Honoratce. Więc ja siebie też tak widzę bo tam była garść owsa..Ale wreszcie widzimy po kilku dniach tego straszliwego pożaru. Trudno było to sobie wyobrazić zwłaszcza w nocy. Zupełne piekło. Wydawało się, że te góry się palą. A tam ktoś jedzie na siwym koniu. Daleko na brzegu widać a dziadek mówi: O jedzie ten Czestnikow z Pitu. No to jedzie ten główny z NKWDś No to już nasz koniec. Bo to jego kieszadź. Ja już widzę. I oni się tym przestraszyli. Cała trójka. Ono mnie: Ty jesteś Polka, jesteś wierząca ty idź sobie z nim tłumacz. My nie mamy z nim nic wspólnego. Kto zapalał ogień Ty. I ty odpowiesz za brygadę. No. To ty odpowiadaj. Ja byłam przez te wszystkie dni kiedy tajga się paliła. Byliśmy tacy głodni, że trudno to sobie wyobrazić. Jak byliśmy głodni. Ale dlaczego jeszcze myśmy nie zmarli z głodu? Bo tak w prostej linii, o jakieś trzy cztery kilometry był taki, to się nazywało "zamowiec". Taki budynek. Tam był zawsze żelazny zapas chleba, wódki, papierosów, jakis tam produktów dla tych co myją złoto i ewntualnie przyjdą je oddać. Tam siedział taki pustelnik - staruszek. Dysponował tą żywnością i musiał mieć na nią pokrycie. Jak mu dać i gram złota to on dawał i kilogram chleba. 1 gram złota to jeden litr wódki. To był taki przelicznik. I dziadek za nim wybuchł ten pożar poszedł sobie i tego starego uprosił i ten dał nam kilogram kaszy jęczmiennej, takiej drobnej i powiedział, że to mi dorzucicie na wodę. Póki się nie wyjaśni

sprawa ja nie mogę nic więcej wam pomóc. Chleba nie mogę wam dać, bo jest za złoto i ja muszę mieć rozliczenie. Muszę mieć dokument na chleb. I dlatego myśmy tam nie umarli z głodu.

Wrócam i jedzie ten z NKWD po prostu przeprowił się przez ten bród i jeszcze na tym konku. Zszedł z niego, puścił go. On się pasie a on podchodzi. Ja postanowiłam. Przez wszystkie te dni jak płonął ten las, zwłaszcza w nocy, kiedy spać nie mogłam, tylko wokół naszego szałas chodziłam i tylko jedno co mogłam mówić: Pod twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko i ciągle powtarzałam tę antyfonę. Toteż jak oni widzieli, że ja tak ciągle się modłę. To oni powiedzieli: Jeśli się modlić to niech cię ten Bóg uratuje. Co my ci możemy pomóc? Że tyś tę tajgę spaliła. A ja siedzę zrezygnowana. Wszystko mnie jedno. Co będzie? No i przecież jak ja mogę skłamać? Jestm cała poparzona i spalona. Brwi nie mam, rzęs nie mam, włosy popalone - to widać. Przecież ja nie miałam się w co przebrać. A cała moja sukienozyna jest powęglona, popalona na mnie. A on tak stanął, popatrzył tak litościwie na mnie i mówi: Dlaczego spaliłaś tę tajgę? A ja siedzę sobie przy ognisku. Płonie taki malutki ogienek i są jeszcze te resztki tych szyszek. A ja mówię: Z głodu. Jak to z głodu? A co wy nie macie zaopatrzenia? Więc my jemu zaczynamy tłumaczyć, że to wszystko nam utonęło, że uratował nas od śmierci głodowej ten staruszek. My nie mamy nic do jedzenia. To on mówi: No ale nie rób tego więcej. Potem napisał parę słów i idzie do tego pana. Na moje polecenie niech wam wyda parę pajek. To wszystko co się wam należy na dziesięć dni. I to nas uratowało. I on nie tylko, że mnie nie zesłał na Dywinkę, ale uratował nas od głodu. I całe szczęście, że przyjeżdżł. Tak że ja miałam szczęście. Ale te siano-kosy bardzo nam się udały. Przyjechał z kopalni taki brygadzysta "dziesiątnik" jak go nazywali. Przyjechał, odebrał. Stwierdził, że siano, bo tam była piękna pogoda, wyschło, bardzo ładnie w stogi ułożone. No i jeszcze i to była największa radość, o której po dziś

dzień i dzieci, które były małe. Teraz rodzina moja, dorośli ludzie wspominają i opowiadają co to była za radość. Otóż jak przyjechałam na miejsce mama mówi: Słuchaj co tam było. Myśmy przez dziesięć dni słońca nie widzieli. Tylko dym. Osiemdziesiąt kilometrów - jakie to musiały być pożary. Osiemdziesiąt kilometrów odległości a słońca nie widać. Bo było w dymie. Pogoda też temu sprzyjała. Ale dostałam na przemiał razowej mąki w nagrodę. I trzy metry białego płótna. To było pierwsze płótno w ogóle od czasu jak nas deportowali, zesłali. A matka własnymi rękami skroiła nam, wszystkim dzieciom od razu figi - majteczki i sznureczki takie wciągnęła, żeby te dzieci coś miały, żeby coś było. Bo nie wiadomo było co z tego skarbu uszyć, co zrobić. A kawałeczek został to Stasia pochowaliśmy, bo zmarł ten mąż - to właśnie jemu sukieneczkę uszyła. Już nie majtki a sukieneczkę. No i z tej mąki matka mówi, że robi nam pierogi. Rybka i pierogi. Wykopała kartofelki i ugotowała je. Rozgniotła je i zagniotła ciasto, narobiła pierogów. Po raz pierwszy naprawdę wszystkich nakarmiła. Ale mąki sprzedali na polewkę aby starczyło na kilka tygodni. Zobowiązano nas - to znaczy z tej grupy mnie jedynie. Może dlatego że pracowałam, że byłam pośrednio związana ze służbą zdrowia. Bo wówczas pracowałam jako wychowawczyni w przedszkolu. Posłano nas aby przywieźć te zebrane siano. Przywieźć tam nie było tak łatwo bo dróg nie było. Jedyne transport odbywał się drogą przez rzekę. Wobec tego należało to siano zgromadzone na brzegu przetransportować. Zbudowano tratwy, załadowano i spławiano w dół rzeki te osiemdziesiąt kilometrów. I pamiętam że było już bardzo zimno. Rzeka niemal zamarzała. Padał śnieg, był ogromnie zimny wiatr. Odwilży nie było. Wtedy mama uszyła z koca taką wełnianą kurtkę. Włożyłam ojca spodnie i pojechałam gromadzić to siano dla koni do kopalni.

Rosjanin który był ze mną na tej tratwie to oczywiście chciał

ze mną flirtować. Ponieważ nie byłam mu powolna to wtedy, kiedy nastął brzask, rano. Bo to wieczorem późno zakładowaliśmy i trzeba było przenocować. Jak było w nocy ciemno to było niebezpiecznie płynąć, ponieważ rzeka miała wodospady, katarakty. Dlatego, że tam był górzysty teren. ~~Rano~~ Rano, przy brzasku po prostu wrzucił mnie do głębokiej wody w ubraⁿniu. Oczywiście z drugiej tratwy lekarz z pielęgniarką skoczyli do wody i mnie wyciągneli. Musieliśmy przerwać dalszą podróż. Roznieciliśmy na brzegu ognisko. Mnie usadzili w takiej wygrzebanej w sianie dziurze. A wszystko ze mnie zdjęli i suszyli przez cały dzień przy ognisku. Ale do końca dopłyneliśmy już spokojnie. I tak się zaczął ostatni rok mojego pobytu na Syberii. Przyjechała ciężka zima. Ale w tym czasie nie po^osykano do roboty. Do pracy jeszcze chodziłam. To się nazywał kurs. Ale to był faki dwuosobowy kurs. Prowadził go ten lekarz. Przygotowywał nowe siły do pomocy w pracy w szpitalu, ewentualnie na froncie. Dzięki temu ukończyłam taki sześciomiesięczny kurs dla pielęgniare^k. Zresztą teraz w wieku emerytalnym to doświadczenie mnie się przydaje, ponieważ pracuję w hospicjum i pielęgnuję chorych to tanto doświadczenie i nawet minimalna wiedza bardzo mnie pomogła i pomaga nadal.

W 1943 roku było bardzo ciężko, było bardzo źle. Nie przypominam sobie czy ja wspomniałam o tym, że od 1942 roku dwa razy w tygodniu dojeżdżała do naszych baraków, do naszego osiedla starsza pani, nauczycielka, oczywiście Rosjanka i uczyła małe dzieci przynajmniej rachunków. Miała lekcje dwa razy w tygodniu. Oczywiście na ogół starsze dzieci powyżej dziesięciu lat, to już się wydawały starsze i do szkoły nie uczęszczały bo musiały w jakiś sposób pomagać rodzicom. Albo właśnie gromadziły drzewo na zimę albo ~~szły~~ szły nianńczyć rosyjskie dzieci, albo w inny sposób rodzice wykorzystywali te dzieci. Ale do dziesięciu lat dzieci chodziły do tej szkoły. To było dobre i to, że te maluchy nie będą kompletnymi analfabetami.

Zaczeli nas inaczej traktować. Wielu młodych mężczyzn, jak już wspomniałam, zatrudnili w kopalni i można było ^{ich} odwiedzać. Przy czym nie było na to czasu i się ale można było odwiedzać Polaków w innych osiedlach takich jak: Dłużnyj. Tam było złoto. Tam była "kamienna draża". Kopała piach, taki szuter. Ten piach szedł na takie lekkie wałki. Woda go przepłukiwała i w ten sposób używano złoto. Tam było kilkanaście polskich rodzin. Dwanaście czy czternaście, coś w tym rodzaju. Następnie w innej dolinie, też na Południe około osiemnastu kilometrów od nas również w ten sposób kopali złoto. To była kopalnia odkrywkowa. To wszystko należało do jednego przedsiębiorstwa, do naszej kopalni w Ajakcie. W 1943 roku, w lecie, w sierpniu gruchnęła wieść, że jest mobilizacja Polaków, mężczyzn zdolnych do służby wojskowej bo powstaje Wojsko Polskie i Polacy jadą do Polskiej Armii. Ale w to już nikt nie wierzył ponieważ zawsze nam tam mówiono, że kaktus im wyrośnie na dłoni zanim my ujrzymy Polskę, zanim my usłyszymy o Polsce. Tym razem zniknęła raz na zawsze z mapy i żebyśmy wybili sobie z głowy Polskę. Ludzie sceptycznie przyjęli tę wiadomość ale rzeczywiście na drugi dzień przyjechała komisja wojskowa i wezwali wszystkich mężczyzn. Od nas pojechało sześciu młodych mężczyzn i wszyscy myśleli, że się na tym skończy. Byli to sami Ruscy, którzy byli z nami. Tymczasem po kilku dniach przyszła wieść, że tym razem pojedą kobiety. Jadą kobiety mężatki, kobiety bezdzietne i młode dziewczyny od osiemnastego do czterdziestego roku życia. Ja pamiętam, wracałam z pracy i usłyszałam, doszła do moich uszu ta wiadomość i ja się strasznie ucieszyłam. Po prostu biegłam jak na skrzydłach do obozu. Tymczasem w obozie był płacz, rozpacz że ja wyjeżdżam do wojska, że nie wiadomo jakie to wojsko. Ojciec powiedział: Na pewno jedziesz gdzieś kopać okopy, do jakiej służby pomocniczej. Gdzie tu jest jakaś Armia Polska. Daj sobie spokój. Ja miałam wiarę, że to Armia Polska i nas już z tych sąsiednich posiołków, tych osad tych ze słańców zebrano. Trzydzieści dwie dziewczyny.

I właśnie do tego miasteczka Pit. Odpływaliśmy do Jenisiejska a w Jenisiejsku czekaliśmy na taki duży statek, który kursował po Jenisieju i już do Krasonjarska i już do wojska.

Więc jak to wyglądało? Była to taka szeroka, długa na kilkanaście metrów łódź, na której byli ci burkacy jak ich nazywano i dwa konie i dwóch podoficerów NKWD z bronią. I nas eskortowano w ten sposób do wojska. No więc to był straszny i smutny widok. Bo jak już byliśmy na rzece, którą była głęboka i szeroka. Znacznie szersza od naszej Wisły, chociaż na niektórych mapach jej nie ma, jej nie widać. Rodzice, rodziny stały na brzegu i płakały. Po prostu płakały.

Myśmy w ogóle o armii Andersa nie wiedzieli. Myśmy się dowiedzieli o armii, że podobno coś takiego istnieje, jak pan polityczny już w Sielcach mówił, że Anders zdradził Związek Radziecki i wziął swoją armię i uciekł na Południe bo mu się nie chciało wojować. Takie były pierwsze wiadomości. Dlatego i nie było wiary w Armię Polską. Była nadzieja, że się wyrwiemy z tego piekła, z tej niemożności, że przynajmniej ktoś wyjedzie w świat, w jakiś głębszy, dalej na Zachód. My nie mieliśmy żadnej świadomości. Myśmy mieli jedynie świadomość tego co nam powiedziano, że od tej chwili nie będą nas pilnować, bronić bo Sikorski zawarł porozumienie ze Stalinem, a Stalin był taki uprzejmy że zwolnił Polaków. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Ba jesteśmy tak uprzywilejowanymi ludźmi, że możemy i chętnie nas przyjmą jak byśmy chcieli zmienić obywatelstwo na radzieckie bo przecież jesteśmy radzieckimi ludźmi a nie Polakami. Nie ma Polski. Przecież myśmy urodzili się Polakami, ale o tym trzeba przecież zapomnieć.

Dopiero wchodzimy do łodzi. Stoimy na brzegu. Stoją rozpaczające rodziny. I właśnie mnie to przyszło do głowy, że coś trzeba zrobić, że wreszcie jesteśmy w gromadzie i że coś trzeba zrobić. Wobec tego zaczęliśmy śpiewać: "Jeszcze Polska nie zginęła" na tej rzece. Po raz pierwszy po tylu latach, żeby po prostu podtrzymać duchowo tych rodziców, że my nie jesteśmy straceńcami, że coś będzie a w gromadzie jest

zawsze siła. I to właśnie wtedy odczuwaliśmy po raz pierwszy.

I na brzegu stało się coś niesamowitego. Ludzie, którzy przybyli stoją a tam klęczeli na brzegu. Ja dzisiaj nie mogę o tym mówić spokojnie. To był taki wstrząsający widok. Po prostu myśmy nawet nie wiedziały że to tak podziaka. Echo po wodzie niesie. Był to cichy, spokojny dzień. No to myśmy żegnały już z oddali, jak z biegiem rzeki to łódź spływała. Jeszcze śpiewaliśmy: "Nie rzucim ziemi I tak płynęliśmy do ujścia tej rzeki, do Jenisieju.

To była wyżyna syberyjska u podnóża gór i oczywiście rzeka przedzierają się przez te góry. Wobec tego były tam wodospady. Niektóre były ogromne, wysokie na kilkanaście metrów. Woda spadała i ci burłacy, którzy prowadzili łódź to byli doświadczeni żeglarze i oni sobie doskonale radzili. Nawet zwierzęta wyjątkowo się zachowywały w tych sytuacjach. Bo to były przyzwyczajone zwierzęta. To były konie. Otóż jak ta łódź wracała w górę rzeki to konie brzegiem ciągnęły, a tam gdzie były tak zwane "wąskie brzegi", spadziste to te konie wchodziły na łódź i oni własnymi siłami żeglowali ten kawałek, gdzie znowu konie przyprzęgali i znowu. I to tak trwało kilkanaście dni. I dokonyliśmy w godzinach popołudniowych, wieczorem. Na brzegach rzeki były zbudowane takie schroniska i w tym schronisku przynocowaliśmy i skoro brzask znowu do łodzi. Cały dzień do wieczora, Te etapy były obliczane tak samo jak poprzednio, kiedy opowiadałam jak się płynęło w dół Jenisiejem, kiedy jechałyśmy podwodami. Ale cały dzień to było przecież trudno wytrzymać. Tam było czterech obsługujących łódź i konie i dwóch wojskowych pod bronią, którzy nas eskortowali. Problemem było załatwianie się. No bo jak? Były takie kółki przytwierdzone do tej dużej łodzi i można było wypłynąć ale to jedynie za zezwoleniem władzy wojskowej i tylko z nim. Osobno to mowy nie było. Więc przez pierwszy dzień to jakoś męczyliśmy się. I nad wieczorem pokynął jeden z nich, a ja muszę powiedzieć jeszcze, że stamtąd płynęła jedna pani, której

maż był oficerem. Prawdopodobnie zginął w Katyniu, bo od 1941 tylko przez rok z nim korespondowała, a potem ta korespondencja się skończyła, urwała się. I ona miała trzy córki. Jedną z nich dorosła, jechała razem z nami do wojska. Jedna była w wieku 16 lat i jedna była małą ośmioletnią dziewczynką. Ona sama jechała do Krasnojarska bo Związek Patriotów Polskich ściągnął ją aby stworzyć szkołę dla polskich dzieci. I ona jechała jako nauczycielka.

I drugiego dnia naszej podróży rzeka była spokojna. Woda rozległa, bardzo szeroka. Brzegi porośnięte krzakami. Piękny widok I ci wojskowi powiedzieli, że kto chce za jakąś potrzebą fizjologiczną to bardzo proszę. Dwie łódki są do dyspozycji. Do jednej łódki wsiadł jeden wojskowy, do drugiej drugi i po cztery kobiety. I właśnie w jednej łódce usiadła szesnastoletnia córka tej pani i ta maleńka ośmioletnia. Po prostu myślę, że to dziecko będące w bezruchu, w beczynności chce się rozerwać trochę, pojechać na brzeg. Już niezależnie od potrzeby. I w drugiej łódce też usiadło kilka osób. To były spore łódki bo tak po osiem osób siadało do nich. Po siedem i wojskowy. No i oni odpłynęli na brzeg i myśmy widziały jak oni z powrotem wsiadają do łódki, żeby dogonić naszą łódź. I wtedy nasza łódź weszła w wartki bieg rzeki bo zbliżał się bardzo, ale to bardzo wysoki próg. Taki wodospad był na kilkanaście metrów. To był straszny widok. I rzeczywiście ci obsługujący łódź zaczęli krzyczeć i wołać żebyśmy szybciej przy płynęli. Ale oni nie byli w stanie. Ten żywioł przeżywić na tyle, na ile spieszyli się, ale nie zdążyli. Potem nasza łódź weszła w taki wartki prąd, że to po prostu przodem wlecieli. Oni pokierowali ponieważ doświadczeni ludzie wiedzieli w którym miejscu, gdzie ta łódź ma spaść. I myśmy z góry lecieli z tymi końmi i tymi ludźmi. Jak łódź z nami spadła do tej wody na dół to myśmy byli cali mokrzy. Po prostu oblani wodą, w tej pianie i od

razu przybiliśmy do brzegu. Tym już straż przyjechała i sami czekali. Teraz zbliżają się te łódki. I to był straszny widok. Po dziś dzień pamiętam i przeżywam ten widok. Jak ta malusińska łupinka u góry tylko się zakotłowała, wleciała do wody i wszyscy oczywiście wpadli do wody, wypadli z tej łódki. I z tej łódki uratowali się tylko ci dwaj wojskowi, z tych dwóch łódek. I to na naszych oczach. Myśmy widzieli jak to tonęło. I z naszego osiedla koleżankę Marysię Wątrobiankę to długo, długo widzieliśmy jak tak trzymała rękę w górze i prosiła o pomoc. Ale to nie sposób było. Jeden z wojskowych ratował jedną, ale nie uratował. Sam ledwie dopłynął żywy. I oni rzeczywiście dopłyneli. Ale najtragiczniejszy widok był jak ta mała dziewczynka tonęła. Dlatego, że matka jej zrobiła taką małą czerwoną czapczkę z resztek włóczki i kiedy ona utonęła to ta czapczaka jeszcze długo krążyła tam na tej wodzie. I to był jedyny znak po ludziach, po czterdziestu osobach, które tam zostały.

Jak ci burkacy wrócili z powrotem do tej miejscowości Pit to oczywiście wszystko opowiedzieli o tej naszej tragedii. Ponieważ ta Marysia Wątrobianka też miała długie warkocze to powiedzieli, że jedna taka młoda dziewczyna z naszych utonęła i tylko warkocze tak długo płynęły a ona już się schowała pod wodę a jeszcze warkocz płynął po wodzie. Rodzice odgryźniwali mnie przez dwa lata bo nie wierzyli, że żyję. Po prostu wszyscy uważali, że to ja utonęłam. A ja pisałam listy, które pisało się na takich małych skrawkach papieru. Robiło się takie trójkąciki ale te listy nie dochodziły. To było nieprawdopodobne żeby doszły, ale wszystko jedno pisało się, może. Może jakaś wieść dotrze. No oczywiście myśmy, pozostałe przy życiu na brzegu, przy ognisku przekoczowały. To było straszne przeżycie. Taki szok, że myśmy między sobą w ogóle nie mogły rozmawiać. A nazajutrz to mówiłyśmy do siebie szeptem. To było straszne. No i tak płynęliśmy do Jenisiejska.

W Jenisiejsku zatrzymali nas przez tydzień i wreszcie znalazło się miejsce dla naszej garstki, która była o połowę mniejsza od tej która wypłynęła do Krasnojarska. W Krasnojarsku zaprowadzono nas do komendy Wojenkomanautu i powiedziano, że czekamy na wagony bo nie ma transportu. Nie ma czym nas zawieźć. Wobec tego pójdziemy pracować. Zapędzono nas do pracy, do kopania kartofli w "wojenkomapanii". To było takie wojskowe gospodarstwo rolne. Przez tydzień kopaliśmy kartofle a na następny tydzień posłano nas do rzeźni. Więc ja pracowałam w dziale, gdzie przygotowywano mięso. Przedewszystkim z baranów. Ale powiedzmy sobie: dziesięć baranów, jedna świnia, jeden wieprz. Wieprz to takie wielkie słowo, bo to były takie chude świnie, że one prawie nie miały słoniny. Tylko skóra trochę grubsza - na kiełbasy na front.

Te dni były koszarne, dlatego, że do Omska jechaliśmy chyba dziesięć dni. To były takie towarowe wagony. W wagonach było pełno pyłu węglowego, grubo na jakieś 50 centymetrów. I my w tym pyłe jechaliśmy. Jak nas wyładowano z tego wagonu to nie wiadomo było jakiej rasy my jesteśmy. Dlatego, że nie było mycia. Dostawaliśmy w manierkę wody na cały dzień. No to trzeba było trzymać jak skarb. Chować żeby starczyło na picie, bo przecież żadnego jedzenia gotowanego nie było. Przydzielono nam po kawałku żółtego sera i chleb. I to była cała żywność.

W Łacku załadowano nas w kolejne wagony. Już nieco czystsze, ale i tak takie towarowe. I tak jechałyśmy chyba do połowy września do Siedlec. Po drodze okradzono nas. Ja miałam taki tobołek w którym były osobiste rzeczy, bielizna na zmianę. Nawet nie wiem kiedy okradziono nas zupełnie, kompletnie. Została mnie tylko ta kurtka, którą matka mi uszyła i którą dano mi jako wyprawę i która służyła, przydała mi się jako jedyne okrycie.

Nas na takich większych stacjach, już dalej od Omska, wyganiano do łaźni kąpać się, a swojego dobytku nie wolno było brać ze sobą. To wszystko zostawało i jak się wracało to już nic nie było. To była wojna, to było przemieszanie, to się po stacjach kręcił różny element. To nie byli wojskowi. To wszystko było takie ubożuchne. Może dekownicy, może jacyś młodzi złodziejaskowie. Oni kradli to co było, ale w drodze. Ta droga do wojska była Golgotą. To była cierniowa droga. Z Krasnojarska do Aczyńska 200 - 250 kilometrów na Zachód ^{od} Krasnojarska. Na tej trasie transyberyjskiej ~~ładowano~~ ładowano nas razem, ponieważ wagon był potrzebny na coś innego. Tam było zimno. Padał deszcz. Była bardzo nieprzyjemna pogoda. Zatrzymano nas tam przez całą dobę. Całą dobę pociąg stał. Nie było gdzie usiąść i nie było gdzie się położyć. Ja pamiętam jak grałyśmy, byłyśmy tak zmęczone. Był taki moment, że dostałam chyba histerii. Krzyczałam, krzyczałam i płakałam, że ja chcę się tylko położyć i umrzeć. Nic nie chciałam. Nie miałam żadnego odczucia, żadnego życia. Tyle tylko aby usiąść lub się położyć. I jak widziałam u zawiadowcy taki stół to tylko o tym marzyłam. Nie więcej w życiu nie pragnę tylko żeby się na moment położyć na tym stole. Tak byliśmy zmęczeni. Nogi były opuchnięte. No i po tym w takim stanie załadowano nas do tych węglarek i tak dojechaliliśmy do Omska.

Jeszcze tak może chciała bym wspomnieć o Nowosybirsku. Dowieziono nas do Nowosybirska i tam była już zima. Bo jak przyjechaliliśmy do Sieleca to tam była jeszcze żadna, ciepła jesień. Ani śladu mrozu mrozu ani przymrozków nie było. Ale tam po prostu była zima. W Nowosybirsku jest ogromny, przeogromny dworzec kolejowy. Takie hale i tam było widać kawał Rosji tej prawdziwej, wojennej Rosji. Jechali ludzie ranni, podleczeni z frontu. Bez rąk, nóg, okaleczeni, na wpół ślepi i chorowali. My byliśmy nieprawdopodobnie umorusane. To zaprowadzono nas do łaźni i tam odłożono nasze ubrania, wykąpano nas i na dworzec i czekać. Na

tym dworcu była taka kuchnia wojenna. I tam dostawałyśmy raz dziennie, raz na dobę porcję zupy i przydział chleba. Tyle ile się należało. Czasami coś do chleba. I dzień i noc w pogotowiu czekało się na pociąg, na dalszy transport na Zachód. Więc to czekanie trwało tydzień. Na szczęście to było jeszcze przed tą kradzieżą. Bo ja jeszcze kurtkę miałam. Myśmy wszystkie nocowały na posadce, na betonie. Szczęściem było, że znalazło się jakiś kątek do którego ludzie nie dotarli. I tak było, że niektóre leżały i ludzie je przekraczali, bo nie było miejsca. Cały dworzec był zawalony. Walizami i czekającymi na podróż, jakimiś ~~xxx~~ całymi rodzinami. Bóg wie z czym. Powiedzieć bym, że było to odbicie kawałka Rosji, tej straszliwie zabiedzonej, obolałej jednocześnie okaleczonej Rosji. A my czekałyśmy na pociąg. Kolej zawiezie nas do Centralnej Rosji, wtedy wstąpimy do tej Armii Polskiej, jeśli w ogóle taka jest.

No i wreszcie doczekaliśmy się. Boże mój. Teraz mówi się przez jakie to straszne warunki ludzie przechodzili. Nie ważne czy to na Wschodzie czy na Zachodzie w obozach koncentracyjnych. Leżało się na posadce i ani temperatury nie było ani przeziębienia. Tak się organizm cudownie przystosował, że to wszystko przetrzymałyśmy.

No i wreszcie wagon. I znowu jechałyśmy w takim wagonie towarowym i już nie po węglu a po zbożu do Riazania. W Riazaniu wyładowane nas i jechałyśmy kilkadziesiąt kilometrów normalnymi wagonami. I to już był luksus, to że jechałyśmy normalnymi wagonami osobowymi. Przy czym była jeszcze jedna przesiadka. W tej chwili nie przypominam sobie miejscowości ale to było już blisko Siedlec. Więc do Siedlec. Po drodze była stacja Diwowo. I tam zobaczyłyśmy prawdziwego, przedwojennego zawodowego sierżanta, który bez przerwy wołał: O rany koguta. I on powitał nas po polsku, w polskim mundurze, w polskim szynelu. No więc

wstąpiła w nas nadzieja. Rzeczywiście coś z tego jest. Polak. Tam nas przyprowadzono. Było to dwanaście kilometrów do naszego polskiego obozu, gdzie się formowała I dywizja.

Przyszlismy tam wieczorem. Zaraz była łaźnia. Były zbudowane baraki. Miałam to szczęście, że spałam na górze, na takim wyrku. Więc oczywiście pierwsze dni to było jeszcze dużo chaosu, bałaganu. Ale już po kilku dniach zaczęto z nas formować wojsko. Uczyć maszerować, musztry, już w mundurze. Wykapano nas w łaźniach i dano mundury. Jeszcze nie wszyscy mieli skompletowane. Bo to trzeba było dobrać. Ale były takie ładne pumpy, spodnie krótkie do kolan. To nie było rosyjskie. Raczej amerykańskie. Bielizna była amerykańska. Kobiety dostały po kilku dniach takie nieodzowne akcesoria damskie jak: biustonosze, podpaski, ale tego nie było potrzeba. Bo to jak w obozach koncentracyjnych coś się dzieje w organizmie, że właściwie byliśmy jak niedorośnięte dziewczęta, albo stare kobiety. Nie było żadnych przypadłości. Rzadkie wypadki były aby coś takiego się zdarzyło. I oczywiście były już kuchnie wojskowe.

No i zaczęło się wojsko. I tam przydzielono mnie po tygodniu do kompanii fizylierek. To jest mój pobyt w wojsku. Ale chciałabym jeszcze tu na zakończenie wspomnieć taki przypadek: Miałyśmy ostre ćwiczenia w grudniu 1943 roku. Leżałyśmy w okopach wykopanych w śniegu bo to była dość ostra zima, jednak taki kontynentalny klimat. Pokowa twarząmi opuchła. Prawdopodobnie miałam zapalenie ucha. Zostawili mnie w lazarecie. W tym czasie nasze babskie wojsko szło na Zachód. Ale kilka maruderek zostało. Minął tydzień. Oczywiście choroba minęła bez śladu i mnie skierowano już nie do batalionu ale do Sumy. Bo w Sumach organizowała się już I Armia Polska, która zaczęła się formować. I ja przyjechałam pierwszym transportem, który się pojawił w Sumach.

Właśnie tam między innymi był mój szwagier, który został ranny pod Lenino i też tam trafił. Jeszcze coś mu dolegało bo był poważnie ranny, kontuzjowany. Zakrajkowski też tam trafił, właśnie tym transportem, którym jechałyśmy. Jeszcze było tak, że Niemcy bombardowali i nasz pociąg także został kilkakrotnie zbombardowany. Ale po prostu był nie tyle bombardowany co ostrzeliwany z karabinów. Ostrzeliwali nas z samolotów. I coraz to stawał w polu i trzeba było wyskakiwać i chować po krzakach. Zresztą te tereny okropnie wyglądały bo to był martwy las. Tylko kikuty drzew sterczały. No i w Sumach zaczęła się organizować armia i kiedy przyjechałyśmy pod koniec stycznia do Sum. Pod koniec lutego lub w pierwszych dniach marca Bering przyjechał na trzy dni a po wizycie Beringa przyjechał jego zastępca ~~Siwxxxxx~~ Swierczewski. Swierczewski organizował wówczas Wojsko Polskie z uchodźców ze wschodnich terenów Polski. Spotykał się z ludźmi, przyjmował, rozmawiał i między innymi ja miałam okazję z nim rozmawiać. Było to w połowie marca 1944 roku. Po pierwsze zapytał mnie jak mam na imię, skąd się wzięłam tutaj. Zapytał skąd mnie deportowali, gdzie przebywają moi rodzice. Pytał się czy dzieci uczą się, czy jest jakaś literatura, czy nie zapomnieliśmy języka polskiego. Dopiero w trakcie dalszej rozmowy powiedział: Bo widzisz ja jestem trzydzieści lat poza Polską, ale zachowałem język dlatego, że czytam. Przedewszystkim czytam Sienkiewicza. Zapytał mnie: Czy rodzice cieszyli się, że wyście pojechały do Polskiej Armii. A ja odpowiedziałam: Generale, nikt mnie nie wierzył, nikt nie wierzył że jakkolwiek Polska Armia Skąd ludzie mieli wierzyć jeżeli słyszeli że Polski nie było i nie będzie. Polska zniknęła w 1939 roku z mapy świata. To on powiedział: Czy byłabyś taka odważna dobrać sobie jeszcze kogoś i pojechać pokazać się już w polskim mundurze. Oczywiście czło-

wiek młody chciał zobaczyć swoich to gotów byłby jechać i na koniec świata. Więc powiedziałam: Tak. No to dobierz sobie kogoś.

Spotkałam, mieszkałam z nią razem w jednym pokoju. Razem z Karolą Pawłówną. I ona zostawiła tam właściwie tylko ciotkę swoją. Jej matka zmarła. Ojciec zginął prawdopodobnie w Katyniu. I syna leśniczego Władka Kurę. Powiedziałam, że oni mogą jechać bo mężczyzna jest potrzebny dlatego, że we dwie tyle tysięcy kilometrów, przez takie bezludzie to jest trochę niebezpiecznie jechać. To powiedział: Dobrze, jedzcie. Ja wydam rozkaz i pojedziecie do Moskwy pierwszym transportem, pierwszą ciężarówką, samochodem. Były takie wielkie ciężarówki, amerykańskie samochody "Studebackery". Tam się zgłosiłam do Związku Patriotów Polских z pisemkiem i z tym co jest niezbędne. Wszystko to co uniesiecie w plecaku. I pojedzcie, pokażcie się, dowiedźcie że powstaje Armia Polska, żeby ludzie wierzyli, żeby czekali z nadzieją że będzie Polska. A w ogóle to przypomnijcie sobie wszystkie miejscowości gdzie są Polacy i podajcie tutaj abyśmy mieli spis tych Polaków. I to ich ocaliło, bo przecież gdyby nie nasza podróż i podanie że właśnie stamtąd jesteście to przecież ludzie wracali w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych też i ci Polacy gdyby nie nasz wyjazd wówczas też prawdopodobnie by tam zostali. Bo nikt by im nie powiedział, że mogą jechać, że są wolni.

No i zaczęła się podróż. Z powrotem na Syberię. Zaczęła się w pierwszych dniach maja. Pojechałam oczywiście samochodem ciężarowym razem z grupą lotników polskich. Kilku lotników zgłosiło się do eskadry "Warszawa". Jechali do Moskwy. Byli także Rosjanie. Jedna lekarka, Rosjanka i kilku Rosjan oficerów. No i nasza trójka. W Moskwie trafiłyśmy do Związku Partiotów Polских. I o czym ja pomyślałam wtedy? Wiedziałam, że nie ma nici, że nie ma

czym łątać dziur. Bo po prostu nie ma nici. Jest kilka puszek mleka, ale mleka nie skondensowanego a w proszku. Ale to było takie mleko w puszkach, amerykańskie, kilka słoików dżemów, ale dżemy potrzebne namy były na podróż. Było to ciężkie, niewygodne ale też jakiś dobiągów - mąka ryżowa dla dzieci. To co mogliśmy udźwignąć. Plecak i w podróż. Pociągiem jechaliśmy na Wschód, na Północyn Wschód. Znowu maj - czerwiec - lipiec trzy miesiące jechałyśmy w tą stronę. A miałyśmy do 30 sierpnia przepus-
tki, wydane dokumenty. 30 sierpnia powinniśmy być z powrotem w jednostce. Tymczasem my byłyśmy trzy miesiące w drodze. Ale to nas zupełnie nie deprimowało, byle by tylko dojechać. Byle by tylko zobaczyć swoich. I dojechaliśmy. Jak dojechaliśmy - płynaliśmy statkiem z Krasnojarska do Jenisiejska. Tam zgłosiliśmy się do komendanta wojskowego i on się pyta: co to za armia. W ogóle to otwierali oczy i pytali się: co to za kurica na czapkach. No więc tłumaczyliśmy, że powstała w Związku Radzieckim z woli Stalina Armia Polska. Jedziemy tam do Polaków bo mamy bardzo ważną misję. No to nam otwierało drogę. Komendant w Jenisiejsku dał nam trzy konie. Oczywiście mowy być nie mogło o jakichkolwiek siodłach czy nawet derkach. Więc usiadłyśmy na te konie na oklep i bez mapy, bez kompasu na przełaj przez tajgę, ujście rzeki. Wędrowaliśmy tak przez trzy doby. Było lato, była trawa więc konie popasały, ale ja przypominam sobie jak po kilku godzinach takiej jazdy zsiadłam z konia i miałam wrażenie, że jestem na kołyszącym się statku. Świat mi się kołysał,

chodzić nie mogłam. Tak że niewygodnie, ale było łatwo bo konie dzwigały nasze plecaki ~~no i nas~~. I tak dotarliśmy do tak zwanego "Suchego Pitu". Z tego miejsca kursowały łodzie, które dowoziły żywność, wszelkie zaopatrzenie na Północ, w górę rzeki. Tuż już przy Suchym Picie kończyła się żegluga wielkorzeczna. . Po trzech dniach wędrowki tą łodzią przypłyneliśmy do Pitu, do gorodka Pit. I tam z kolei zgłosiliśmy się do komendanta. W każdym miejscu, w każdym mieście był taki, w czasie wojny, komendant wojenny. Zameldowaliśmy się i powiedzieliśmy znowu, że jedziemy z misją do naszych rodzin na Ojachtę. Wprawdzie nas tylko dwoje: ja i Władek Kula jechaliśmy na Ojachtę, ale ja powiedziałam, że Władek Kula, jak on jechał na front. Było dwóch synów leśniczego a Tadeusz był jeszcze w Sumach i Tadeusz pojechał a nie Władysław. Konie zostały w Suchym Picie i tam przy jakiejś okazji ktoś odprowadził je do Jenisiejska. A komendant powiedział, że trudno. To było w nocy. Ładujcie się. Podwoda z mąką na chleb i jakaś żywność na Ojachtę. To my możemy położyć na tę podwodę plecaki i iść obok bo to było jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów do Ajachty, do tej kopalni złota. Koleżanka poszła na Południe bo to było dwanaście kilometrów od Pitu, jej miejscowości gdzie była zesłana. A ja z kolegą na Ajachtę. I prawdopodobnie komendant zatelefonował do kopalni, że idziemy z żołnierzami bo tam się zrobił ruch i podał dwa nazwiska. I ktoś z Rosjan przybiegł do moich rodziców i powiedział, że ja idę jeszcze z jakimiś żołnierzami. Ponieważ ja byłam taka bardziej organiza-

torka to moje nazwisko zapamiętali a kolegi nie. I stąd właśnie całe nieporozumienie. Dlatego, że matka zupełnie zrozpaczona : co się stało. Na pewno jestem ciężko chora. Może i weneŕyicznie, albo w ciąży. Bo jak to ? Wracam. Więc wielka rozpacz i wielka radość. Ale w tej radości i ogromny niepokój: co się dzieje. Bo jak już powiedziałam to było wieczorem, noc. Właściwie koło godziny dziesiątej wieczorem. Konik ciągnął tę podwodę. Teren był górzysty. To się wchodziło na górkę i górkę. Było siedem gór. Dosłownie jak w tej bajce. Z górkę na górkę. Wdrapujemy się na piątą górkę a więc moja mama z siostrą biegną i krzyczą: do mnie. Mama widzi, że ja jestem zdrowa, opalona, szczęśliwa. Co się stało ? Nic. Przyjechałam na trzy dni i zaraz wracamy. Po prostu przyjechałyśmy pokazać, że jest Polska Armia, że jesteśmy żywe, że wszystko jest w porządku. Mój ojciec, który miał na rok przed deportacją ciężki wypadek, miał okaleczoną nogę, więc źle chodził. Po za tym nie miał siły. Ciągle na tej Sybérii chorował. Dzisiaj jak patrzę na to wszystko z perspektywy czasu to myślę, że prawdopodobnie on chorował z głodu, był słaby. Po kilku kilometrach wspólnej radości, patrzę a mój ojciec stoi na ostatniej górze i płacze i wita nas i mnie. I tak szczęśliwie w ogólnej radości dojechaliśmy na miejsce. I teraz była radość. Gdzie te małe dzieci, gdzie ktoś bardzo chory. Nie wiele tego było. Bardzo mało. Ale to były takie ogromne skarby, to była taka ogromna radość. A po za tym ludzie tacy zdumieni oglądali, że coś takiego jest jeszcze produkowane. To wprost nie do wiary. W jakich strasznych prymitywnych warunkach ludzie tam mieszkali. Oczywiście musieli się przyzwyczaić do tych okropnych warunków. A tu prawdziwe nici. Takie ogromne szpulki. Dziesięć tysięcy jardów - to ile to będzie metrów. I taka radość. Taka dziecinna radość jakby patrzyli na zabawki. I wtedy jak jest Polska Armia to wszyscy są ciekawi. Zbiórka - wszystkie dzieci w ciągu trzech dni robiły z za-

pałek i psków papieru, z drągienek pamiątki, żeby na front dać polskim żołnierzom. . Więc z kory brzozonej były robione pudełeczka z rysunkami orła. Pudełeczka na zapałki, pudełeczka na papierosy. Jakies portmonetki. No bo co dziecko mogło zrobić? Co mogli tam ludzie zrobić? Jakies drągiane malutkie krzyżyki. Ja to wszystko w Żytomierzu oddałam jak się dowiedzieli, że je przywiozłam, jakies pamiątki. To zgłosił się generał Grosz i ja oddałam to wszystko na ręce generała Grosza. Dzisiaj żałuję, bo mogłam jakies drobiazgi zostawić. Bo to były takie piękne, wypracowane drobiazgi. Oczywiście ludzie nie robili tego w ciągu trzech dni. Człowiek potrzebuje jakiegoś estetycznego drobiazgu tylko dla życia. Robili coś takiego. Jakies schoweczki, jakies takie małe, okągłe pojemniczki z kory brzozonej. Ale wszystko to było z jakimiś polskimi elementami: orzełkiem, z napisem. Żeby to była prawdziwa pamiątka ludzi, którzy przekazywali swój skarb. Może to śmieszne ale bezcenny skarb znak że żyją, że myślą że kochają. Po trzech dniach naturalnie poszłam w górę, do osiedla, pokazać się. Wszyscy Rosjanie zbiegli się a zesłańcy oglądali, cieszyli się, mówili jak to dobrze, że jest ta Armia Polska. Mieliscie rację. Coś jest. Inne mundury, inne odznaki. Wtedy byłam w stopniu kaprala - jak pojechałam. I wyjazd. Trzeba było się skontaktować jak wracać Pitem. Już łódzie spłynęły. Będą za tydzień. My nie mamy czasu. Trzeba się przedostać do rzeki na Południe. Która łódka dowiezie nas do Angary, a Angarą kursują już statki rzeczne to jest taka ogromna rzeka syberyjska znana skądinąd z ostatnich lat . I trzy dni pieszo. Trzy doby pieszo. To było sto dwadzieścia kilometrów. Tak że ta droga była obliczona na trzy doby więc 32 - 33 kilometry dziennie należało przejść. I drugiego dnia spotkaliśmy się, można tak rzec, twarzą w twarz z niedziwiedziem. Zatrzymaliśmy się aby troszeczkę ochłonać i za-

nurzyć nogi w czystym potoku podczas wędrówki. A to był sierpień. więc usłyszeliśmy jakiś szelest. A tam rosły dzikie czarne porzeczki tak zwana po rosyjsku "czciornaja smorodina". W pewnym momencie obejrzeliśmy się. Patrzymy a to ogromna brunatna bestia stoi na dwóch łapach i groźnie do nas mruczy. Więc myśmy się zaczęli odsuwać. Nawet jeden z nas z butami w ręku i zaczęliśmy się przerażeni cofać w górę powoli po maleńku, krok za krokiem. Ale niedziedz nie poruszył się. Pomruczał groźnie, obejrzał się za nami i jak myśmy tak cofając się uszli z 50 metrów w górę od potoku niedziedz opadł na cztery łapy a my biegiem resztkami się w górę przez taęgę. Ponieważ nie chciało nam się moczyć nóg w potoku. Bogu dziękowaliśmy, żeśmy uszli z życiem. Rosjanie jak usłyszeli nasze opowiadanie powiedzieli, że naszym szczęściem było to, że były jagody i niedziedz był syty, a groził nam bo prawdopodobnie była to matka, gdzieś niedaleko od niej krążyło małe. No więc doszliśmy pieszo do Suswiatskowo. To tak się nazywała ta miejscowość nad rzeką i meldujemy się - tam miejscowi, duży sowchoz, - żeby komendant wojenny sowchozu zorganizował nam jakąś łódkę, którą dopłyniemy do statku żeglugi wielkiej rzeki. Trwało to kilka dni. Wreszcie dopłyneliśmy i koczowaliśmy na brzegu dwie doby. Dzień i noc czekając, żeby nie uszedł naszej uwadze statek, który płynął do portu Andinka. Nad Angarą, Jenisiejem do Andinki. Ale na ten statek wysadził w Jenisiejsku. I w Jenisiejsku przesiedliśmy się na statek kursujący po Jenisieju już do Krasnojarska. I w pewnym momencie ujrzeliśmy z daleka, zresztą dawał znać o sobie statek duży, ogromny, rzeczony statek pływający rzeką Angarą. Było to takie ogromne rozlewiszko, ogromna rzeka, że na drugim brzegu widać było ludzi takich jak zapakki. Po prostu. Kiedy statek zbliżał się do brzegu. Na tym brzegu stała łódka. Wtedy nie wiedzieliśmy, że jest ona uszkodzona, że jest po prostu rozeschnięta, nie używana łódka.

Wsiadliśmy do tej łódki. Zresztą poprosiliśmy miejscowego człowieka, który się tam znajdował. Pozwolił nam. W łódce był jakiś czerpak. Po kilkunastu metrach zauważyliśmy, że wody przybywa. Jest już po kostki w tej łódce. Ale statek zobaczył nas i daje znak, że w ogóle nas nie przyjmie. Nie zatrzymał się. My jesteśmy w rozpacz. Co dalej robić? Już musimy wracać a nie mamy czym. Statek odmawia. A od statku biegnie ogromna fala. W łódce pełno wody. My błagamy żeby nas przyjeli. Już nie pamiętamy o czerpaniu wody. W pewnym momencie i duża fala i nadmiar wody w łódce spowodował jej przechylenie i wszyscy znaleźliśmy się razem z plecakami, w butach z szerokimi cholewami pod wodą. I co się stało dalej nie wiem. W ogóle nie pamiętam. Pływać było nie sposób w ubraniu przemoczonym, deszczowym, tym wszystkim. Znaleźliśmy się w wodzie i kiedy obudziłam się to leżałam w kajucie kapitana w tym statku. Ja i koleżanka. A kolega był w innej kajucie. A nasze rzeczy, nasze ubrania suszyli. Rzeczywiście zaopiekowali się nami i pomoc medyczną nam okazali. Tylko zmarnował się nam ten przydział. Ale karmili nas na statku swoją żywnością marynarze. Oni nas z tej wody wydobyli. Po prostu nikt z nas nie miał świadomości że tonął. Co się z nim stało dalej. Tylko obudziliśmy się jak było już po wszystkim. No więc to była jeniejska przygoda w drodze do Krasnojarska. Już tam pływały, kursowały statki, prawie że systematycznie.

Po dobie oczekiwania dołączyliśmy do Krasnojarska i w Krasnojarsku czekaliśmy trzy dni na pociąg. Tym razem jechaliśmy już w wagonach osobowych. Z tym tylko, że nie wchodziliśmy drzwiami a wpychali nas oknami bo tam był nieprawdopodobny tłok. To było nieprawdopodobne. Pociągi były zatłoczone do granic niemożliwości. No ale już jechaliśmy na Zachód szczęśliwi że nam przybito po drodze pieczętę w każdym mieście gdzie otrzymywaliśmy żywność. Bo żywność dawali tylko na dużych przystankach. W każdym mieście

na podstawie naszych dokumentów dostawaliśmy żywność na drogę . I dalej na Zachód. I tak dojechaliśmy. Już nasza jednostka zatrzymała się w Żytomierzu. Kolega został odwołany do swojej jednostki. My zostaliśmy skierowane razem z jeszcze jedną koleżanką cztery kilometry od Żytomierza. Zamieszkałyśmy u takiego gospodarza. Było to już polska trochę zruszczała ale bardzo sympatyczna rodzina. Pokój na strychu nad domem. Z pachnącym sianem. I tam przebywałyśmy. I tego dnia - to już był koniec sierpnia lub wrzesień. To był już wrzesień bo może o dwa - trzy dni przekroczyłyśmy nasz dokumenty~~wny~~ wydania wyjazdu. Wieczorem przyszedł do nas pułkownik. Nawet byliśmy zdziwione, że tak wysokiej rangi oficer zjawił się i powiedział nam: Dziewczęta jak zajdzie słońce spójrzcie na Zachód. W Warszawie wybuchło powstanie. Warszawa ginie. Warszawa spływa krwią i płonie. I nie otrzymała żadnej pomocy. Warszawy już nie będzie. Głos mu się załamał. Nie miał płakać.

Chciałabym jeszcze na zakończenie tej sprawy powiedzieć, że w tym czasie w wojsku czuliśmy się Polakami. Była polska atmosfera. Były tradycyjne apele. Na porannym apelu śpiewałyśmy: "Kiedy ranne wstają zorze" a wieczorem : "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Nasz dowódca porucznik Roszkowski z zawodu nauczyciel bardzo nas pilnował abyśmy się nie zdemoralizowały. To był taki prawdziwy pedagog. Do każdej z nas miał indywidualne podejście. Pilnował żeby pójść do spowiedzi, żeby wieczorem gdzieś tam nie zabałaganić. Odczuwałyśmy, że rzeczywiście była tam taka dobra atmosfera. Jednym z przełożonych był przedwojenny zawodowy sierżant. Stary wyga. Prawda, że lubił wypić i często miał przepity głos ale atmosfera była iście polska . Śpiewałyśmy tylko polskie piosenki. Powiedziała bym, że taka rusyfikacja armii to nastąpiła już w Polsce i to się zaczęło po wojnie, po 1945 roku. Ja z tamtego okresu pamiętam, że byli oczywiście oficerowie od tak

zwanych spraw politycznych, albo jeszcze inaczej "informacyjni" wiadomo o co chodzi. To byli Rosjanie. Często nosili polskie nazwiska ale bardzo źle mówili po polsku albo wcale. Natomiast oficerowie liniowi to byli Polacy. Naturalnie ja mogę tylko powiedzieć o jednostkach takich jak kompania, batalion, pułk. Ale było sporo jak pamiętam tamte czasy, oficerów, których awansowano, później zostali generałami. Wielu z nich odeszło po 1947 roku z Armii Polskiej. Albo odeszło czasowo albo na zawsze. A wielu też zginęło. Naturalnie nie myślę o tych, którzy zostali rozstrzelani i leżą na Powązkach tylko tak po cichu gdzieś zaginęli, zagubili się.

- Jak daleko pani zaszła ?

- Doszłam do Berlina. Ale w Berlinie byłam dwunastego maja . Natomiast z Drugą Armią doszłam pod Drezno. Przeszłam przez Neustadt, przez kocioł kiedy armia radziecka zatrzymała się a nasi poszli do przodu i niemiecka dywizja pancerna, która jechała przez Drezno na obronę Berlina po prostu wjechała i przejechała przez naszą jednostkę. I tam wtedy zginęło bardzo wielu Polaków. To była straszna masakra. Ale to już jest inna sprawa.

Wojkowi mogą się na ten temat wypowiedzieć. Ja byłam naocznym świadkiem. Widziałam jak to się odbywało. Na naszych oczach z pocisków czołgów jak pudełka zapalek rozlatywały się nasze samochody ciężarowe, stanowiska artyleryjskie. To było straszne. Dochodziły nas głosy, że jak Polacy do przodu poszli - to bili brawo. Kiedy przeforsowali Nysę a potem okazało się, że zostały tam wypuszczone dywizje pancerne a Armia Radziecka, która szła z Południa zatrzymała się. I to wtedy było straszne. Pamiętam jak w Zgorzelcu przy torach kolejowych na stacji leżeli ranni, którzy jeszcze żyli. Leżeli całymi szeregami. Szczątki ludzkie okropnie opalone. Zresztą jak jechałam do Zgorzelca na ten ogromny punkt - cmentarz polski. Pojechałam z synem jak zdał maturę.

I tylko powiedziałam: biedni jesteście. Widziałam rozniesione ciała i tych rannych, którzy umierali. Było tam bardzo ciepło, kwietniowe dni - ciepło jak to bywa na wiosnę. Jest taka piękna pogoda. Tak ale to jest już inna rzecz. Tylko tak jeszcze na zakończenie chciałam powiedzieć, że widziałam żołnierza, który dostał obłądu. Chodził w kółko, krzyczał, trzymał w ręku karabin i strzelał. Udawał, że strzela do Niemców. Krążył po polach. Zameldowaliśmy, że taki człowiek błąka się po polach. Potem go zabrali. Ale był to okropny widok. Tak. Wojna to jest straszna rzecz. Czyni takie spustoszenia. Cierpieli nie tylko ci, którzy byli na froncie ale i ci najbiedniejsi, ci starzy i młodzi.

- Przez ponad pięćdziesiąt lat. 49,5 roku jak to się zdarzyło ja miewam przynajmniej raz w roku koszarne sny. Jestem z powrotem zesłana. Jestem z powrotem tam. I to już pozostanie.

~~Może należę do nielicznych a może do~~ licznych. Nie wiem. Wyciekła ze mnie wszelka nienawiść, żal. Umiem stanąć z boku i spojrzeć na to wszystko. Nie mogę powiedzieć że to był błąd. To była zbrodnia, premedytacja, zbrodnia z ogromną premedytacją. Naturalnie potępiam, zawsze to robiłam i będę potępiała. Nigdy nie bałam się mówić, że to była zbrodnia. Ale mam jednocześnie taki ludzki i beznamiętny stosunek do ludzi a zwłaszcza do tych ludzi, którzy w swoim nieszczęściu, bo przecież oni bardzo często mogli się zdobyć na wielkoduszność, na pomoc. Przecież zabijano ludzi. Miłosierdzia, litości nie można było tego okazywać. Zwłaszcza publicznie. To prawda, ale ludzie umieli współczuć i ja tak często przeciwstawiam sobie tamtych ludzi biednych, ogołconych. Właściwie to ci biedni składali się z wagonów i jakiś składaków letnich i mieli tę przewagę, że mieli worek sucharów. To była ich przewaga nad nami. Ale mogli się dzielić współczuciem i mieli nadzieję, którą umieli podtrzymywać po cichu u wszystkich. Może nie stać ich było na publiczne miłosier-

dzie. Ale nigdy nie szkodzili. To były wyjątki i może te wyjątki dotyczyły spraw politycznych to znaczy tego szowinizmu, który niestety tkwi w tych narodach. W Rosjanach też. Po co wam Polska? Jak będziecie mieli wielką Rosję. Jak tam będzie Rosja to wasze dzieci będą mogły tam pojechać i odwiedzić te miejsca. Po co wam Polska? Rosja i Rosjanie powinni opanować Europę i wtedy nie będzie wojny. To było ich rozumowanie. W wielkorosyjska mentalność. Ale większość z nich to byli bardzo przyzwyczajeni ludzie.

Oczywiście wyjątki i wynaturzenia zdarzały się. Ale jak ja patrzę na nasze społeczeństwo teraz, no to właściwie to jest winna tego sytému i tych rządów przez ponad czterdzieści lat. To ci ludzie tak szybko się zdemoralizowali. Każdy garnie tylko dla siebie, do siebie i tę biedną ojczyznę obdzierają ze wszystkiego. Ja słucham i boli mnie serce. Wszyscy tylko nie ja. Wszystkim opłaca się wyjechać i pohandlować. Tylko nikt nie pracuje. Każdy chciałby zjeść kawałek dobrej szynki, a jeszcze mu mało. Nikomu nic się nie chce, nie opłaca. To prawda, że spowodowały to te rządy, ale przecież ci ludzie zdemoralizowali się tak szybko. Jak szybko? Ja mam spore doświadczenie. Teraz będąc na emeryturze wiedziałam, że człowiek może umierać, potrzebować pomocy. Może przez dwa dni nie wychodzić z domu. Nikt nic nie wie. Czy ta staruszka chora? Czy jeszcze żyje? Czy już nie? Czy potrzeba milicji aby otwierała mieszkanie i znajdowała trupa. Bo w nas tkwi taki brak zainteresowania bliźnim. Brak pomocy drugiemu. Co myśmy z siebie zrobili? Przecież tak nie można.